

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Wiktor Woroszyński

WYBÓR WIERSZY

Tower Press 2000
Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Twój powszedni morderca
POEMAT NA JEDEN GŁOS
1961

1

Wando
Joanno
Anno
ty
tu
tak
Boże
więc ty
ja
Wando
Julio
ty
z magmy
z bełkotu
z zapartego tchu
czekaj zaraz ci wszystko o sobie opowiem byłem małym chłopcem
śniła mi się dziewczynka w kusej koszulce sąsiadka miałem ją w łóżku
umarła nie uważałem na lekcjach przyrody rośliny dzielą się nogi
nauczycielki w bransoletach mych żrenic i wyżej zepsuty chłopak
miałem dwadzieścia kobiet nie miałem żadnej opowiem ci wszystko
nic nie wiem
dopiero ty słuchaj
słuchaj
mo
jej
klu
chy
w gar
dle
ani
słowa
ty
ty
więc ty
gipsu
w ustach
zadżganego
przypartego do muru

wypatroszonego
języka
nie
sły
szysz
opowiem ci książki filmy podróże historię mojej rodziny
mieszkaliśmy gdzieśmy mieszkali miałem rodzinę przyjaciół nie
mam nikogo opowiem ci krajobrazy ślady zwierząt na śniegu
światła cichy plusk rzek pory roku opowiem
jak
tyl
ko
zmartwychwstanie mój biedny
pochowany w ciemnicy
za zaciśniętymi
zębami
chwi
lecz
kę
to już to:

*O! mów, mów dalej, uroczy aniele;
Bo ty mi a noc tę tak wspaniale świecisz
Jak lotny goniec niebios rozwartemu
Od podziwienia oku śmiertelników...*

poznajesz
jestem Szekspir
jeżeli jest Szekspir
to ja nim jestem
prawda dowiedziono
nie ma Szekspira
widzisz jaki jestem inteligentny wszystko czytałem znam wyniki
badań w wielu dziedzinach poza tym jestem bohaterem dokonałem
zamachu na skakałem z pociągu bili mnie milczałem albo grałem
w ruletkę uwiodłem księżną de oto mój cylinder rękawiczki te
kwiaty przysyła nieznajomy
pani
te kwiaty
nie mam na kwiaty
nie umiem
nagi
z kluchą w gardle
stoję tu
tu
ty

2

Chcę ciebie
jak rozprażona ulica ulewy
wszystkimi asfaltowymi porami

jak osesek sutka mlekodajnego

jak niemowa głosu ściśniętym gardłem

jak aktor oklasków

Eskimos zorzy

morderca krwi

chcę ciebie
językiem lędźwiami krtanią
bębenkami uszu
fletami palców
trzepotliwą gitarą rzęs

chcę
całym anielstwem bestialstwem całym
pokorą zebrzącą łaski
i przemocą głuchą

chcę
pożar drzewa suchego pragnę
topór drzewa miękkiego co
wargi rany żywicznej rozwarte
piorun drzewa strzelistej sosny
drzewo soli ziemi

chcę
jak
cela więźnia na dożywocie
do kamiennej piersi

wszystkich zmysłów skowytem chcę
wołam chodź wołam bądź wołam chcę

3

Cicho
nic nie
ja wiem
ty
tylko
nic

ale ty
a ty

4

Jak możesz
mnie
brzydkiego
kawał gliny
wytarzanej w mchu

ostrego jak płat blachy
ciężkiego jak worek
z kartoflami
brzydkiego
natrętną męskością

ty
śpiewna nuta
w tym chrapliwym
poruszającym grdyką
ty

linia miękka i pełna
chcesz
ze mną
linią surową
gwałtowną
łamaną
ach jak nie przystajemy
do siebie to musi
boleć
dlaczego nie uciekasz

mostów
nie palisz
bram nie zatraskujesz
rąk nie odpychasz
włochatych i twardych

dlaczego tulisz się do mnie
brzydkiego

5

A wiesz
są niezłe
może je polubię
zdziwiony

potrafią unieść ciebie
albo tylko
dotknąć

wchodzisz w ich przypyływ
jak gorący brzeg

potrafią drzenie
i spokój potrafią

słyszą jak pulsujesz
i rozmawiają z twoim pulsowaniem
a widzą czulej i dokładniej niż
oczy w orbitach uwięzione

mogą
zamieszkać w twoich włosach
przybrać kształt
twoich piersi
mogą

są mądre
i bogate
skoro im
ufasz
ja też
choć zdziwiony

wyciągam coraz głośniej
chodź pozostań
w ślepym zaułku
obu moich rąk

6

Odchodzę
nie zatrzymuj mnie
w gnieździe ramion
w kolebce ud
w przystani oddechu

mijam
ciebie i siebie
dwa martwe ciała
topielców
płynących z prądem

nie chwytaj
się mnie kurczowo
napotkanego
na białej Syberii pościeli

to ja
odnalazłem
aby porzucić
tulilem
aby wypuścić z rąk
rozmykających się słabych

na nocy dno
na
odchodzę
po raz pierwszy odchodzę
zawsze
odchodzę
od ciebie
w zimę
w siebie
tam

ra
tun
ku

7

Ocalony

to ja
to moja ręka
szyja
stopa

to ty
ty śpisz

ja jestem
to mój głos

– a
– a
mam głos
mogę spróbować
– be
– er
– ą
mogę z nich zgłoski
kłamstwa
i wyznania
mogę Szekspirem
mogę anegdotą
tysiącem ust oświechtaną,
ty śpisz

obudź się
nie zdążyłem ci powiedzieć
zaraz ci wszystko opowiem posłuchaj przecież dopiero zacząłem
kiedy ty posłuchaj miałem parszywe dzieciństwo albo lepiej
opowiem ci co było później interesowała mnie polityka czy też
interesowałaś się polityką malarstwem muzyką symfoniczną
rozbiciem atomu miałem starszego brata wiele podróżował
pamiętam jakbym ja sam
lecz ty śpisz
nie zda
żyłem
nic
żyłem

bez
ciebie
istniałaś
za krótko
i nigdy już
nie zdążę ci opowiedzieć tyle tego mogę Szekspirem mogę
anegdotą jeżeli lubisz więc w pociągu albo spotkali się na rogu
i mówią albo mąż wyjechał taki ze mnie dowcipniś będziesz
pękała ze śmiechu specjalnie dla ciebie wymyślę najlepszy kawał
ty śpisz najlepszy kawał
żeby
w nim
to jedno
zakazane
nie do wykrztuszenia
nawet szeptem
wstydlive
śmieszne
to jedno
niezbędne
uwierz
uwierz
nie odchodź
nie odpychaj
ty
nie śpisz
ty
słyszałaś

nic nie powiedziałem

8

zobaczysz

będzie nam dobrze

zobaczysz

9

Ustawmy zatem dekoracje
jakiś wschód słońca albo zachód
lampiony także ładne

cyrk karuzelę w rytmie walca
zwierzątka kolorowe

gondolę góry parę palm

zamknijmy oczy pijmy wino
kochajmy się szalenie słodko
tenorem walcem wirującym
zamknijmy oczy

by nie widzieć
jak ktoś wynosi dekoracje
gondolę zachód karuzelę
ustawia brzydkie ciasne ściany
złośliwe meble klekot naczyń
sąsiada szczurzy pisk tramwaju

kochajmy się szalenie

10

Dziękuję
tak pieczołowicie
wiązesz mi
szalik czułego rozsądku

już się nie przeziębę
przeciagi ze wszystkich stron
trzaskają otwarte okna
wiatry na przestrzał
byłbym frunął z wiatrem
szalony
już nie
już się nie przeziębę
nie oszaleję
nie frunę
mam szalik
ciepły włóczkowy
chroniący przed
gilotyną przeciagu
nagiej szyi szaleństwem
pieczołowicie wiązany
dziękuję

patrzysz ze zgrozą
jak rozwijam szalik
żagiel
ulatuję z wiatrem
szalony

11

Boki poobijali
podeptali stopy
połamali pomięli

gdzie jesteś

pociesz poratuj
z pyłu otrzep po
wprawiaj oczy ręce

gdzie
odpowiedz
gdzie

spruj wyprasuj posklejaj

gdzie jesteś
gdzie jesteś

przecież wróciłem
przecież pamiętałem
tu
czekasz
ciepło
czułość
cisza
gdzie
każdy kąt
szparę w podłodze
fałdę prześcieradła
nigdzie
ciebie
ciemno
czemu
gdzie jesteś
gdzie jesteś

12

Dobrze ci ze mną
powiedz

skłam
jeśli to kłamstwo

potwierdź
dobrze ci ze mną
tak

ja uwierzę
na pewno uwierzę
więc powiedz

tobie jest dobrze
ze mną
mnie
no tak no tak

krzyknij
dobrze

jak dobrze

13

Kto to jest
ten mężczyzna
szczękający biało
to mleczarz tylko mleczarz
i wcale go nie ma
jesteśmy sami

kto to jest
ten mężczyzna
skrzypiący wysoko
a to tylko inkasent
i nie ma go wcale
jesteśmy sami

kto to jest
ten mężczyzna
dotknął twojej ręki
nie dotknął przeszedł obok
i wcale nie przeszedł
jesteśmy sami

kto to jest
ta kobieta
dotknąłem jej kolan
nie dotknąłem nie widzę
tu żadnej kobiety
jesteśmy sami

kto to jest
ta dziewczynka
i dlaczego płacze
to nasze dziecko ależ
cicho nikt nie płacze
jesteśmy sami

kto to jest
to stworzenie
wyjące w przestworzach
blask nad głową i pęd
nie tam nie ma nikogo
jesteśmy sami

sami
w uścisku
tyle lat
we dwoje
w siebie
wsłuchani
i wpatrzeni
w siebie

nie przeszkadzajcie

14

Mężczyźni którym podoba się twoja twarz
nie wiedzą że to moja twarz
kobiety którym podoba się moja twarz
nie wiedzą że

wymienieni bez reszty
na każdym skrawku skóry odcisnięci
odebraliśmy sobie wszystko
wyraz twarzy
dźwięk głosu
gest

ja jestem twoim śladem
ty jesteś moim echem

ja jestem twoim cieniem
ty jesteś moim lustrem

ja jestem książką którą czytasz
a ty zeszytem w którym piszę

ja mam ciebie na wargach
ty masz mnie na dłoni

ja jestem twoim tętnem
ty jesteś moim oddechem

ja jestem twoim słowem
ty jesteś moją melodią

kiedy od ciebie uciekam
gonię za tobą

zdradzam ciebie
z tęsknoty za tobą

15

Zabiję ciebie

zabiję ciebie
moją czułością
moim pragnieniem
szaleństwem moim

skarpetkami do cerowania
pomysłami do podziwiania
dziećmi do rodzenia

jak cięciwy nerwy napinam
padasz trafiona
mój zegarek
ekspłduje ci pod nogami
ciągnę za rękę chodź
ręka złamana
zatraskuję drzwi
cztery ściany smutku

zabiję ciebie
sobą
chciwym i obojętnym
to czas
stuka na twoją zgubę
to ja
oplątuje cię czasem

to czas to ja
pożeramy ciebie
łakomymi ustami

zabiję
zgniotę piersi
rozciągnę brzuch
oczy odbarwię
tkliwy puszek z policzków zdmuchnę
piękna moja
oszpecę ciebie miłością
jak ospą

zabiję
życie czas ja
twój powszedni morderca

kochana

16

Ach zlitujcie się zlitujcie
nie skazujcie nas

tacy młodzi
tacy nadzy
tacy jedyni

nie piętnujcie nas zmarszczkami
włosów nam nie wyrywajcie
nie wtrącajcie do szpitali
jeszcze chwilę
jeszcze rok

to za sroga kara za to
że mężczyzna
że kobieta
że we dwoje

nie skazujcie tej miłości
na śmierć

nie ma zmiłowania
otaczają nas

uciekajmy sami
wezmę cię na ręce

tacy młodzi
tacy piękni
tacy samotni

to poczwara bamboszami
tupie i gazetą chrzęści
przyzwyczajenie

to głos kata świdrujący
przeraźliwa nuta troski

to starzenia się obcęgi
szarpia kości nerwy mięśnie

uciekajmy uciekajmy
choć na chwilę
choć na rok

zesłali nas do mieszkania
bez litości

szczuli kłuli ostrogami
jeszcze tamto zrób i to
a gdzie my

już za późno stos gotowy
o wysoka inkwizycjo
tacy młodzi spójrz do lustra
stłukę lustro spójrz na zegar
zapomniałem go nakręcić
spójrz jej w oczy uciekajmy

u
cie
kaj
my

17

Dlaczego o nas
dlaczego scena

lepiej uwierzcie
stół tylko stół

stół o miłości
stół rozpaczliwy
czytajcie stół
śmiejcie się stół

stół kłusem
stół wierszami
stół w mrok

stół zmartwychwstały
stół samobójca

stół aktor
stół spazmatyczny
stół oszust
stół nagi
stół bogaty
stół zwierzę
kariera stołu
stół w łóżku
stół

a za plecami stołu
azaple

nie zdążyłem ci nic

stół anioł

trzy metry na cztery
unoszą nas w nieskończoność

stół

18

W magmę
w bełkot
z powrotem w krtań
w piekło
w jatkę
w zjeżony język
w ja
ty
jęk
jak

Julio
Joanno
Anno
Tobie na imię

I w pół słowa
w pół gestu
w pół życia
my
w półśnie
i objęci wpół

**Niezgoda na ukłon
1963**

A więc to

A więc to jest dojrzałość
poznanie konwencji
ukłon rymu
lub grymas zaniechania rymu

więc po to
tętnic tumult
do mety bez tchu
spotkania i rozstania
strach miłość bezsenność
wypite wypatrzone
wyżęte wyżyte

tylko po to
by zmieścić
w tamtej albo w tej
obojętnej przyjętej
jak frak albo sweter

a więc to jest dojrzałość
ten bunt nieprawdziwy
pogodzenie skłamane
święty spokój stów

więc po to umieramy
na zawał
na zawód
na zanadto wszystkiego
na zawiść na zawsze
na za mało
na za co
na zabój
na za

żeby brawko i ukłon
konwencja spełniona

i tęsknota za owym
sprzed lat barbarzyńskim
krzykiem że śmierci nie ma
że

cicho zapomnij
wstyd nie znałeś konwencji
ukłoń się i ukryj

w oślepiającym blasku dojrzałości

Biografia twórcza

Wołali głośniej
wołali ciszej
ja stałem w kółku

wołali usmaż nam jajecznicę
wyhoduj różę
zreperuj zegar
ja stałem w kółku

wołali umrzyj
podrap nas w piętę
nos przyprawiali
mierzyli długość
strzygli na zero
szydzili tysy

wołali głośniej
wołali ciszej
ja stałem w kółku
mój szept mój krzyk

o krok o rękę
nie słyszał nikt

Stara oszustka wyobraźnia

cóż potrafi

czy wczorajszej miłości
płatki opadłe
do łydgi przypnie z powrotem

wczorajszej nienawiści
wetknie nóż w zęby

zmarszczki wygładzi
uciętej nodze zagra do tańca
zmarłemu ojcu miejsce przy stole zrobi
jak ci leci synku

zoperuje raka
tłustą zziąjaną przemieni w skowronka
zreformuje gramatykę
od dziś zamiast bladego było
tylko krwią tryskające jest

cóż potrafi
mniej niż gramofon i fryzjer

kota w worku sprzedaje
kot piszczy
udajemy że nie słyszemy
kupujemy kota
z litości
dla biednej starej oszustki

Rozmowa

Odsłaniaś się powiedział
a rzeczywiście

Nie odsłaniaj się powiedział
bo zagryzą

Oto co ci potrzebne
pancerz

Wyjdź w pancerzu
i pokaż co umiesz

To jedyne co umiem powiedziałem
odsłaniać się
a rzeczywiście

Jego zęby

Wariacje na temat rąk

I

Paliło im się w rękach
nie sparzyli palców

to miasto dalekie
własnoręcznie odarte ze skóry

od ręki
zajaśniało skowytom

ciepłą ręką pięć tysięcy w cieniu

gołymi rękami ostruganymi do szpiku

ręce opadają
popiołem

II

Wyszliśmy obroną ręką
kikutem

nie załamujemy rąk
uciętych

nie łapiemy za ręce
zwęglone

ręczymy

doręczamy

czasem wyręczamy

sąd sędzi nas za rękoczynny
kikuta

III

Wyciągają do nas
potrząsamy ściskamy

no bo jak na odległość wyciągniętej
no bo

o co chodzi my też
przyłożyliśmy więc co
uciąć sobie

niech boska

komu to na

ręka w rękę
z ręki do ręki
ręka rękę

Niewola

Jestem niewolnikiem wszystkiego

nie mam na myśli
pospolitej przemocy łazienki
lusterka do golenia lśniącego judasza
przez który się podglądam nie bez życzliwości
ale i nie bez trwogi
windy jedynych mych skrzydeł anielskich
jeszcze elementarniej talerza widelca
pięćdziesięciogroszówki skarpetek drzwi ścian
ile się panu należy
dziękuję proszę dobranoc
despotyzmu rzeczy i związków najprostszych
nie

ale
każdy mój gest
każde słowo gumką nie starte pośpiesznie
bierze mnie w niewolę

każdy postępek chrzęści łańcuchem konsekwencji
podobnie jak i brak postępu
każdy czterowiersz jest klatką po której chodzę
tam i z powrotem tam i z powrotem

jestem niewolnikiem własnej twarzy
skoro raz ośmieliłem się mieć twarz
nie wolno mi mieć jednocześnie innej
albo tej zamienić na drugą
albo pozbyć się wszelkiej
odcisk twarzy w aktach

niewolnikiem
wszystkiego co ukrywam
i z czym się obnoszę
własnego pojęcia o sobie
pojęć cudzych i tego
jak te pojęcia sobie wyobrażam

każdego przeżytego dnia

każdego człowieka z którym
mam coś wspólnego
którego odważyłem się
pokochać
albo tylko polubić poznać
pomóc skrzywdzić odepchnąć
być obok

niewolnikiem nowych ludzi ze mnie
ledwie na nich spojrzałem
pierwsza tkliwość dozorca więzienia
rysy powtarzające mnie
potem pytanie
na które trzeba odpowiedzieć
zgrzyt kłódki na drzwiach
osaczony ze wszystkich stron
coraz szczelniej

Zuczonych lektur

Lubię ten świat
chełpiący się swoją powściągliwością i
triumfujący nad potocznością pojęć jak
światła pani nad kuchtą ależ Tekło
nie ma związku pomiędzy spojrzeniem tej starej
a przypalonym mlekiem wzgardliwy
ten świat bezradny

Oto w trosce o swą rzetelność obalił prawa
nie jakieś prawo lecz zasadę praw ależ Tekło
powtarzalność zjawiska nie świadczy o jego
nieuchronności wolno nam założyć
prawdopodobieństwo nic ponadto
ten świat krzepiący

Prawdopodobnie
woda w temperaturze zero
ręka wsadzona w ogień
z dużej chmury
ten świat ostrożny

Jego dążenie do ścisłości
pozostawia pęknięcia dla duchów
za pustynią sprawdzalnych zdań zaczyna się
gąszcz fantastyki prawdopodobnie
szybkość początkowa krasnoludków
ten świat magiczny

Człowiek którego organizm
prawdopodobnie
człowiek w pewnym wieku
na ogół ależ niepoprawna
Tekło Tekło zdrowego rozsądku to nie
dowód może tym razem
może właśnie
może zniecka

Ten świat

Ze snu

Przecież byłem tam w głębi
przecież byłem tym co było tam
co było tym przecież byłem
przecież z tym przecież w tym
w głębi w całym to było
moim byciem moim mną
moją głębią w której to było

jak to się stało
jak to się stało

Don Juan

Ale z czego umieramy

Tylko z miłości

To ona w nas kamienieje
kruszy tkanki
w żarnach rozciera krew

Ach szczelinę dla oddechu pozostaw
nieubłagana

Kamieniuje nas

Drogę lasem kamiennym zachodzi

Z góry słońcem kamiennym spada

O szczęśliwa

Komandora kroki

Wolałeś mnie Don Juanie

Pójdź w me objęcia

Mit o mass culture

Czas pożarł rybę
Jej cień na kamieniu pozostał
Ale nikt się nie modlił do pochłoniętej przez czas
Zza skały wyrzał kudłaty
Nie znalazł czasu i bał się gromu
Pękały nieba
Grom był mową czasu
Czas był strachem śmiertelnym
Ze szczeliny wyszli bogowie

To oni bronili człowieka
Ze zwłok cuchnących wyjmowali nieśmiertelność
Wkładali w powłokę rumianą
Prowadzili w krainy gdzie czas nie zabijał
Śmierć była metaforą i metamorfozą
Cienie grały na cytrze
Wdzięczny wznosił chramy
Zza skały wyrzał zbrojny

Czas pożarł bogów
Przetapiano kruszec na korony innego kształtu
Marmurowe kolumny żelaznymi linami cięto
Rozsypywano składano kamień na kamieniu
Bóg silniejszy wydzierał jagnięta słabszemu
Odwracał korowody
Zmieniał nutę płaczów
Zmywał barwy wczorajsze
Zapadał się w czas

Dokładniej mówi o tym historia kultury
Warstwy bogów odsłania
Ustawia ich w sztafetę i włącza chronometr
Na chronometrze nie ma strzałki przerażenia
Przemijanie posągowieje w muzeum

Więc teraz jest epizod Bogów Esso Shell Mobiloil
Ropa naftowa pociekła na ołtarzach szybkości
Szafy grające mielą czas
Cienie gladiatorów i rycerzy krzyżowych rzucono na ekran
Cinemascope
Ruiny dawnych kultur z przewodnikami sprzedawcami pamiątek

uczonymi autorami prospektów wynajęto by urozmaicały czcicielom drogę do przesiąkniętą benzyną i coca-colą świątyni nowego kultu uniwersalnej jednoczącej ludzkiej kultury masowej

Któż wзира z za skały

A to my turyści

Nasz powrót z kamerami do jaskiń katakumb

Nim grom uderzy

I cień nasz pozostanie na kamieniu

Człowiek Eichmann słucha głosu poezji

Jerzemu S. Sito

Oto zaś człowiek Eichmann w szklanej bańce
trzepot mięsa w opakowaniu z plastyku
owoc sprawiedliwości i przypadku
przez lat piętnaście zamrożony dzięki
współczuciu księdza wierności kobiety
abyśmy mogli dziś dotknąć czy aby
to jego głód zmęczenie pożądanie
czy krew w tętnicach to zimna krew ryby
nogi drgające czy to łapki żaby
czy to roślina poci się czy kamień
szyba snu szyba nocy tylko szyby
możemy dotknąć

za nią człowiek Eichmann

Świadek nie umie świadczyć jest kim innym
niż który przeżył to o czym ma świadczyć
więc z podniebienia gdzie wciąż smak blekotu
wyrasta język smutny chwast bełkotu
starczy litości nigdy cierpliwości
niech świadek siada lub niech się zapadnie
pomiędzy martwych z których wstał z nadzieją
a prokurator i sędzia dokładnie
poprowadzą ten proces choć też nie umieją

Za to adwokat nie traci otuchy
dowiedzie że choć w Dobrym był człowiekiem
w Złym był kamieniem wyplutym przez burzę
śmierć go obrała za swoje narzędzie
on był zwrotnicą skazanych pociągów
kreską w rozkładzie pędzących przeznaczeń
klamką kostnicy łopata grabarza
drobiną gazu Cyklon

był ofiarą

kataklizmu jednego z tych co nawiedzają
ludzkość nieszczęsną w sobie znanych celach
był więc ofiarą ofiar które musiał
złożyć w ofierze

tu milknie adwokat

jest cisza w ciszę tę wkracza poeta
i czyni co mu czynić pozostało
co czynił zawsze odkąd go bogowie
językiem obdarzyli niby struną
słodką jak owoc i mocną jak wino

Pyta poeta czy wina jest winą
jeżeli większa od winy opryszka
co tępym nożem wypuścił bebechy
Starej kobiecie i zabrał torebkę
więc powieszono go w mieście pobożnym
wśród wrzawy tłumu przeciw policjantom
tę winę znamy lecz jakże ogarnąć
winę podobno milion razy większą
czy to jest wina jakie kategorie
nam ją wyjaśnią i zacisną stryczek
wszakże cierpienie sprawą wyobraźni

Albo inaczej nie mówmy że większa
normy moralne nie znają liczyciła
jednego zadźgał czy udusił milion
tak samo lżyjmy sztywnych policjantów
którzy prowadzą go na miękkich nogach
w noc kary hańby kodeksów obłudnych

A wreszcie rzecze poeta od wieków
kłębi się grząska ciemność pod stopami
naszymi lawą rzygając raz po raz
wojen przewrotów morderczej Historii
dlaczego skarżyć tej lawy odłamek
efemerydę sumiennego kraba
który zaciskał kleszcze instynktownie
oskarżmy proces co się wciąż powiela
w kamieniach Peru i piaskach Buchary
ludzkość oskarżmy z której wyszedł trzewi
siebie oskarżmy bliźniaków mordercy
jeśli on winien to myśmy niewinni
a przecież myśmy winni w nas jest piekło
nie budźmy piekła raczej zapomnijmy
i w filozofii szukajmy pociechy
która poucza że wszystko znikome
kat i ofiara zrastają się w jedno
syjamscy bracia wszechmocnej Historii
kwitną pospołu i pospołu więdną
i nowy lemiesz obraca znów skiby
natura spermą wytryska zieloną

Tutaj poeta milknie
tu pękają szyby
sklepienie gmachu obsuwa się z trzaskiem

sale podmyte przez żywioły toną
a człowiek Eichmann wychodzi nietknięty
idzie przed siebie wychodzi najlepszym
wyjściem jedynym wyjściem zapomnienia

Poeta stoi otoczony blaskiem
dźwięcznej poezji mądrej erudycji

To jest przestrzeń białego blasku w którym
ślepe kroki stawiają filozofowie w perukach
gęsiami piórami spisują wątpliwości moralne
puder sypie się na rękopis teologowie każą
skażoną rozważają naturę człowieka
jest ich tłum zasłuchanych w wielki głos abstrakcji
zmieści się więcej przestrzeń nieskończona ale
nie ma miejsca dla tego który krzyczał mamó
ani dla tego który się modlił ani dla tego
który przeklinał ani dla tego który umierał milcząc
ani dla iluś tam milionów którzy umierali tak samo
a każdy miał własną śmierć i inni jej nie zaznali
ani dla tego co miał zostać ofiarą został katem
ani dla tego co miał zostać katem został ofiarą
bo to nie było to samo i niektórzy mogli wybierać
ani dla tych którzy byli ofiarami bo nie mogli wybierać
ani dla tego który pragnał przekupić śmierć
ani dla tego który powiedział gdzie my podziejemy tych ludzi
ani dla tego który cieszył się to jeszcze nie ja
ani dla tego który zrozumiał to już ja
ani dla tego który wyszedł potykając się ocalony
ale nie umiał żyć więc wrócił zapukał
przyjmij mnie śmierci ani dla tylu innych
których nie tylko z braku miejsca nie wyliczę
Tu blask przygasa tu zapada półmrok
jest sąd jest człowiek Eichmann w szklanej bańce
człowiek Koch człowiek Mengele człowiek Jakiśjeszcze
nie ma poezji nie ma argumentów
nazwij to zemstą a to jest rzecz ludzka
słabością nazwij to rzecz ludzka także
szaleństwem zbrodnią nazwij a to wszystko
rzecz ludzka nie ma poezji sąd sędzi
dajmy świadectwo jeśli potrafimy
jeśli nie potrafimy znów próbujmy
i sądźmy abyśmy byli sądzeni

Wyrok

Skazani na wydanie
w ręce fałszywych sędziów
usta świadków fałszywych
sami bez ust bez rąk

skazani na samotność
ziemi okrągłej celi
z przygryzionym językiem
wirującej w przestrzeni

skazani na skazanie
śmierć bez daty bez nazwy
Konopie Ogień Ołów
bez nieba otwartego

na chyłkiem pogrzebanie
na huczne zapomnienie
zmartwychwstanie z trąbami
i wieczne milczenie

Publiczność

Ojcowie morderców
nazywają mnie mordercą swych dzieci

Którzy w nic nie wierzyli
zarzucają mi wiarołomstwo

Nie kochali
moją miłość biorą na spytki

Znają cztery słowa
z bełkotu jąkały szydzą

Sami w mroku
reflektory na moją twarz

Nie mają duszy
o moją duszę się troszczą

Która nie będzie zbawiona

Delegacja

Była to podróż służbowa w sprawie poezji
do miasta w którym niegdyś byłem o wiele młodszy
innym zaś razem tylko czułem się młodszy co budziło
i teraz pewne nadzieje lecz ta podróż
wynikała z uznania kompetencji moich i czterech moich kolegów
w sprawie poezji mieliśmy mianowicie
wybrać zwycięzców turnieju wręczyć im róże przeczytaliśmy
czterysta wierszy wcześniej przeczytaliśmy napisaliśmy
więcej wręczano nam róże albo i nie nasze róże zwiędły więc
spodziewano się że już wiemy czym jest poezja w miękkim
przedziale rozmawialiśmy o nowej modzie na kapelusze oraz
zdruzgotanej przez konkwistadorów cywilizacji Inków która zdaniem
niektórych z nas nie była tak doskonała jak się przypuszcza znała
niewolnictwo tortury choroby umysłowe jechaliśmy
przez ubłocony wieczór od którego zniecka
oderwał się kamień roztrzaskał okno osypując nas
odłamkami szkła mieliśmy je we włosach i na ubraniu
a jednemu z nas drasnęły policzek kolejarz
kiwał takie zabawy na trasie póki sprzątało
poszliśmy do restauracyjnego po zapłaceniu rachunku
okazało się że oszukano nas o pięćdziesiąt
złotych więc jeden wstał zawstydzony nie chciał
z kelnerem lecz inny zaśmiał się i zawołał proszę pana
kelner zwrócił pieniądze tłumaczył się tak dotarliśmy
do podium gdzie wręczaliśmy róże wzruszonym
zwycięzcom pierwszy przyprowadził starą
myszkę matkę składała ręce taki triumf drugi
sfrunął z gór sportowiec szybki i celny porzucił
tę przestrzeń turkoczając clownem był trzeci
dziękował za poważne potraktowanie później
poszliśmy do hotelu i nie miałem żadnej przygody
a jednak to wszystko wydawało się przygodą ponieważ
było gdzie indziej niż zwykle poza codziennością
tam gdzie się przyjeżdża i odjeżdża kiedy nazajutrz
mieliśmy spotkanie ze studentami mały blondynek
zapytał komu trzeba się przypodobać żeby
wydawać wiersze to nie było pytanie złośliwe jemu
chodziło o technikę zawodu mniej uchwytne
niż inżynieria piliśmy wódkę w hotelu spaliśmy
w zimnych łóżkach portier był niegrzeczny postanowiliśmy
się nie denerwować przygody nie było czy chciałem

mieć przygodę miałem początki grypy wróciliśmy z podróży
służbowej nad ranem deszcz spływał po szybach automatów
telefonicznych chrzypiały tramwaje przeziębione czymże więc
jest poezja

Rozmową o cywilizacji zamierchłej czy
kamieniem który ją przerywa zawstydzeniem za kogoś kto
chciał nas oszukać czy egzekwowaniem tego
co się należy wyłączeniem na mgnienie oka
z codzienności zmianą miejsca ucieczką czy powrotem o świcie
wyrzeczeniem triumfem wszystkie te kontrasty
są przypadkowe i wynikają bezpośrednio
ze zdarzeń owych paru dni które przecież
mogłyby być zupełnie inne nasuwając też inne
pomysły i definicje równie dobre lub równie złe czymże
jest poezja którą czułem podówczas tak namacalnie
i żywo czymże jest czymże jest poezja czy w tym
co opowiedziałem wam po kolei przyjmiecie ją czy będziecie
się domagali jakichś zabiegów do których
nie mam siły ani ochoty bo w to najmniej
wierzę iż poezja tkwi w poetyzujących zabiegach czy istnieje
ktoś kompetentny czy bezprawnie przyjąłem te pięćset
złotych za sędziowanie skoro nie wiem czym
jest poezja i zwrot kosztów podróży
służbowej w sprawie poezji

Pochwała poezji niesentymentalnej

To też dobry poeta
zebrał taką salę
takie cudne lalunie
w jego zgrzyt wsłuchane

A on ich nie rozbiera
ciepłych ufających
z łaszków różowych
Halek
staników majtasów

Nie chwyta za kolanko
serduszko cycuszek
nie rozbiera
Obiera
z ciała ponętnego

Z miękkości różowości
ciepła aromatu
do bladego pieszczela
do czarnego szpiku

Do milczących komórek
do ostatniej krwinki
do zawiasów piskliwych
do drucianej osi

Obrane obracają
szyje których nie ma
O luby okrutniku
o słodki skalpeli

Rozchylają kolana
i wilgotne wargi
składają do oklasku
dłonie których nie ma

Fala

Ta czarna fala plwająca wodorostami
Ta śliska dżungla z martwymi rybami w brodzie
Zstąpiliśmy w nią Wzięła nas na języki
Wichrzenie bez wiatru Ta ośmiornica denna
Po nas potop Jeszcze jesteśmy tutaj
Nad spłaszczonymi głowami ten głodny pułap

Daj rękę

To zachłyśnięcie się to miażdżenie Ta fala
której wszystko jedno Myląca imiona daty
kolory Smuga smutku to ona To
uczniowie nasi synowie kochanki nasze
Pochlebstwo kata Inkwizycja bez wiary
Ta płocha i pływająca Ta bez szczeliny

Daj płetwę

Ten wytrysk atramentowy Ten magnetofon
Ten kompleks Ta pępowina oplatająca
Ten plusk Ten liszaj Ta plama Ten plankton lepki
Palce na gardle Przeniewierstwo pamięci Płynność
Płonność Płaczliwość Ach powrót paleolicie
Ta czarna i czarująca Wpław ku zbawieniu

Nie umiem pływać

Eroica

Ale tylko tam
gdzie poezja ciągle jest heroizmem

rozmywana przez ranny przypyływ

na krzyżu rozpinana w południe

rozzucana nocą popiołem

tylko tam

Może nie ma już nigdzie takiego kraju

wszędzie w łagodnym blasku tolerancji
kunsztowni paralitycy strzygą wycinanki
dyskutują o słowach ładnych i brzydkich
czy ktoś powiedział WSTAŃ zdawało ci się
i rosną im brzuchy pełne ach
poetyckiej wzniosłości

może nigdzie
i z tej przyczyny

Ale jeśli gdziekolwiek

Ona rodzi się w odosobnieniu zaniknięciu
pod skorupą codziennej obrzydliwości
jak dżdżownica porusza się przysypana
hałasami mrokami strachem

dżdżownica której odrąbują odwłok
a jej wyrastają skrzydła

dżdżownica marzeń nie zdradzonych

tylko tam

Tego nikt nie słyszy prócz paru najbliższych
którzy są być może buchalterami braćmi
karcierzami przyjaciółkami stróżami nocnymi kimkolwiek
ale nade wszystko

są spiskowcami poezji
trawionymi gorączką i głodem
gotowymi zapłacić sobą

za słowo

za poruszenie dżdżownicy

Tylko tam rozlega się głośnie WSTAŃ

i bezwładny odrzuca kule

Modlitwa do gwiazdy

ukradzionej z cudzego nieba
źle ukradzionej ale gwiazdo byłaś
gorąca i ostra więc jak
miałem cię w rękach utrzymać byłaś
krucha więc jak
miałem cię nie upuścić na tysiąc odłamków
z powrotem w czerń pierwotną żmudnie scalającą

gwiazdo nagłych otchłani bezpłodnych ucieczek
tandetnie malowana udręko ukojeń
gwiazdo gwałtowna
gwiazdo staroświecka
gwiazdo asymetryczna
gwiazdo niespełniona
ciemna gwiazdo poetów głupców rzezimieszków
późna gwiazdo jesieni
wołanie przez sen

gwiazdo kodów których nie umiem odcyfrować
gwiazdo dzikusów astrologów psów
z pyskiem pełnym tęsknoty
gwiazdo miłości

świeć mi jeszcze do rana
co groźnie nadciąga
powłóczące nogami
przystaje u drzwi

Przygoda w Babilonie
1965

Przygoda w Babilonie

Wysiadłem tedy na stacji Babilon (*Już dawno
nie pisywałem wierszy Wstydliva ta umiejętność
wyciekła ze mnie któregoś dnia Rytm
który jest początkiem wszystkiego i który
od początku pulsował we mnie urwał się naraz
jakby świerszcze zamilkły zabrane z dzieciństwa
Cisza nastąpiła*) Stąd
ukośnie odchodzi ulica Babilon Jej skromna
wyprzedaż Umiarkowany
jej turkot Jej wszystko
bardziej spłowiła od nazwy (*Lękiem
przejmowała mnie owa cisza To od niej
pokonując trudności Od siebie
zostawionego w tyle jak miejsce jak moment
bez pożegnania Znieruchomiałego
Musiałem*) Ulica Babilon
powszednia pracowita Lecz

*

Tutaj sen

Jak przystało szanującemu konwencję

Ale też naprawdę: w koi trzeciej klasy na dnie
stromego piętra hoteliku ukołyszany
przyływem odpływem rur
sen miałem na kształt szpaleru

Czy miewaliście sny na kształt szpaleru

To nie musi być szpaler chłuszczący Może
być wiwatujący usłużny lub odwrócony plecami

Równie dobrze jak halabardy może
dźwigać naręcza goździków zegarki zbawienne idee majtki

Ty jednak musisz
przejąć przez Musisz
zrobić pierwszy krok i
drugi krok i

musisz iść dalej przez
zamykający się po obu stronach twojej odrębności
sen na kształt szpaleru

I nie możesz obudzić się ze snu

*

Oto ci których mijalem:

Kochankowie spleceni na rogu deszczu

Inni lub ci sami
pod płynącym pochyło fragmentem poddasza
jak baldachimem

Tragik uliczny ze wzmacniaczem głosu

Dama w hełmie fryzjerskim

Nawigator spalonej eskadry połykacz ognia

Handlarze książek w tułupach podobni
rybakom z bajor moich gęstych lat

Nimfy lakierowane na drogę

Królowie bez nadziei waleci z przyszłością
tygrysy z kanistrami sprężone wzdłuż tropu
blade kwiaciarki

I paru moich sobowtórów
umownych z krwi i kości

*

Lecz ta mniszka

Skąd się wzięła Czy już
w pierwszym śnie błysnęły jej wyuzdane
dłonie dziecka Czy

u wrót świątyni Ten dom
nie jest muzeum lecz przybytkiem
Boga tu
nie wchodź w stroju gorszącym Spojrzała
na mnie podmalowanymi oczami Czy

na scenie zrzuciła habit i stanęła naga
szczupła lekko zgarbiona Ile razy

przeszła mi drogę nim dotknęła cieniem

I co to znaczy

PIOSENKA ULICZNEGO TRAGIKA ZE WZMACNIACZEM GŁOSU

Nad rzekami Babilonu
siedzimy i płaczemy
bo ta konkurencja jest już nie do
wytrzymania

Popychają depczą
wrywają instrument z rąk
krzyczą: Małoż tu śpiewających bez was

Jakże
mamy nie śpiewać o Babilonie
kiedy zapomnieliśmy pieśni o innej ziemi

Jakże mamy
śpiewać o innej ziemi
kiedy istnieje Babilon

Na wspomnienie o innej ziemi
umieramy z tęsknoty
za Babilonem

Niechaj uschnie moja prawica jeśli

Język mój niechaj przyschnie do podniebienia

W cieniu mostów
czeszących fale

Przeciw głosowi wołającemu obok i w nas:
Zburzcie go do samych posad
Śpiewam tu Szczątek Kamień Listek przywiany wiatrem
Wielki Babilon

*

To nie ten Babilon
mówią wszyscy
już nie ten

Co było w tym Babilonie
kto mieszkał w tym Babilonie

Oni wyjechali
i zrobili rewolucję
stary kelner rozkładał ręce kto by
pomyślał o tu
przy tym stoliku
podawałem kawę temu
z bródką i temu w pince-nez
bardzo uprzejmi
brali gazetę na kiju
wyciąłem ich teraz z gazety

Wyjechali
za ocean i zrobili
literaturę potem
usiłowali wracać
raz jeszcze zacząć mieli
oczy samobójców pili whisky

To nie ten Babilon
już nie ten

Malarze też wyjechali
te genialne kieszki Babilonu
trawiące wszystko
jak wąsy krabów poruszały się pędzle
butelki balet zwały zieleniały
wspomnienia sny powietrze
wydalali tę barwną bryję
niezmiennie wygłodniali obcy wzniosli
ku sławie własnej oraz Babilonu

Lecz pewnego dnia
wyjechali

*

Było to
pod koniec lata gdy zerwał się
gwałtowny wiatr i dał
tak długo aż wywiął
wszystkich nie wiadomo
kto pierwszy dał sygnał potem
mordercy z plenerów pytali w kawiarniach
niepokojnie gdzie podział się Iks
już wyjechał
chwyтали za sztalugi pędzili na dworzec

A kiedy później pewien cudzoziemiec
kompan ich zabaw i prac obserwator

trop zamieciony usiłował odkryć
tyle usłyszał że tancerka
której śniady brzuch tak wielbili i dowcip
pralnię prowadzi na przedmieściu
pierze brudy imitatorów

*

Pojawiły się stada imitatorów

Jedni imitowali jutrzejszy przewrót
inni literaturę malarstwo taniec
cyganerię rozpustę miłość

żadne miejsce
nie pozostało nie wypełnione

Używali prawdziwych rekwizytów Byłem
w muzeum gdzie w autentycznej
wannie sprzed dwu wieków tej samej
jak zapewniał napis w której
wydarzyło się to rzeczywiście zażywał
kąpieli woskowy dyktator i ginął
zadżgany przez woskową fanatyczkę Z tego
jedynie wanna słabo przemawiała
do wyobraźni

Wyszedłem na ulicę Pod kolorowymi
parasolami pili anyżówkę
ten kiepski napój zdał mi się prawdziwy

a oni
spoglądali na mnie jakbym
imitował turystę

na nogach z wosku ruszyłem przed siebie

PIOSENKA KOCHANKÓW Z MANSARDY

Kochajmy się
póki starczy dachu
kochajmy się
póki starczy ramion
kochajmy się
póki starczy nocy
kochajmy się
póki starczy chęci
Kochajmy

*

Mam trzydzieści osiem lat
nie musicie odliczać przeliczać
lat wojny lat pokoju tyle mam

Pamiętam twarze ludzi zwyczajnych i ludzi
wyniesionych o tych także
ocieram się czasem w dumie

Także twarz człowieka z pejczem i jego
pytanie kim jestem

Twarze ciała umarłych
na rozmaite choroby
albo i nie

Twarze żywych umarłych Pamiętam

rożne miejsca gdzie działa się
rożne rzeczy na przykład ktoś
spadł z krzesła widziałem
wtedy dokładnie spadał
jak dawniej z góry w dół po chwili
podniósł się w osłupieniu

Trochę kochałem być może za mało

Trochę podróżowałem raz przybiłem
do brzegu nad którym jak rój much
antycznych unosiła się wrzawa
żebrzących i handlujących wyskakiwali
wypełzali zza kolumn skalnych by chwycić
mnie za kolana jak gdybym
przystanąwszy umiał im ulżyć

W innej stronie świata odsłonięto
wszystkie okna ta ulica
była niczym tapeta
z miarowym szlaczkiem cnót rodzinnych
wystawionych nie wiem czy
dla mnie przechodnia na podziw
czy izby Bóg w nie wejrzał bez fatygi Na sąsiedniej
była inna tapeta Za szybą
siadywały ślicznotki dla mnie na pokusę
z robótką albo Biblią Gdy grzech miał się spełnić
zasłaniały

Podróżnym być to piękne
znam też inne role

Przez rok redagowałem czasopismo Wtedy właśnie
od korekt rozbolały mnie oczy Później
już nie redagowałem i pewien redaktor
spotykając mnie przechodził
na drugą stronę bał się że zechcę
coś umieścić u niego nic wtedy
nie miałem do umieszczenia Zresztą
kto to był Zapomniałem

Ale pamiętam
kobiety
miasta
parę książek
parę nut na skrzypcach

i jak umierał ktoś w nocy
na serce kaszłac bez tchu jak
nie mogłem znaleźć strzykawki
wyrwałem szufladę jak
wbijałem strzykawkę
już umarłemu

DRUGA PIOSENKA KOCHANKÓW Z MANSARDY

Babilonu blask biel i ból
Babilonu błaganie

Być tu
to tylko tyle
miłość
to tylko tyle
śmierć
to tylko tyle
O brzasku kiedy
bruk wyciąga ręce

*

I znów wracałem do hoteliku
do patrona wzdychającego Ja nie jestem
stworzony do handlu Mam duszę poety

Patronki wrywającej włosy On mnie zrujnuje
i dbającej by tak się nie stało

Byłem po stronie patrona Czytałem
jego wiersze Miał duszę

poety Wiersze były
krzykiem duszy Zazdrości pełen
ukrywałem przed nim że
krzyk duszy nie nadaje się do druku
i zapadałem ponownie
w sen na kształt szpaleru

*

Mijałem ich
i nikt mnie nie poznawał Nikt
nie wytykał palcami: Smok ach smok z ogonem
Jak się wlecze Jak chrzęści Odrąbać
Wciąż nikt
nie ostrzył błysku i nagłego ciosu

Mówili Czym mogę służyć
Do usług Polecam się panu
Pan pierwszy raz w Babilonie
Jak wrażenia Czy widział pan
ten numer z rozbieraniem mniszek
A mury babilońskie wie pan były czarne minister
wyszorował specjalnie dla pana

Przyśpieszałem kroku Słyszałem
za plecami łoskot ogona Był
ciężki Pociłem się A oni
nie dostrzegali Nabierali zaufania Dzielili się
kłopotami: Niech pana
nie dziwi nerwowość kierowców proszę tylko
rzucić okiem jak przejechać jak się
zatrzymać wydostać z tego taka walka
o skrawek miejsca jak się
prześliznąć wysliznąć dotrzeć pisk
opon wyskakują z kauczuku metalu
szkła nietłukącego zabijają się nie
bladzi podają sobie ręce teraz
one wyskakują i czerwonym lakierem
ostrym do oczu do oczu do oczu Więc

chciałem wyskoczyć z łuski
stanać z boku krzyknąć:
Popatrzcie smok

PIOSENKA POŁYKACZA OGNIA

Jakeśmy odjeżdżali Anieli Pańscy
na to wielkie spadanie z konia

Spadanie z nieba
koledzy go nie żalują
jeszcze końmi go trują

Jak ci ułani kichoci piloci
z grzebieniem ognia triumfalnym
z ogonem pawim

jeden połknął kulkę
drugi ziemię gryzie

a ja łakomy
nie rozstanę się z ogniem
nie rozstanę się z ogniem

*

Lecz ta mniszka spomiędzy
maszkar czy girlasek

Kim jesteś Nie odchodź Mów

Może
tyś przebrany mężczyzną Spowiednikiem
Ojciec już klęczę Odchodzisz
nie wysłuchawszy

Agentem biura podróży Aniołem Kompleksem

Dziecięciem wieku

Pożądaniem Losem

Kimkolwiek jesteś Bądź Nie odchodź

PIOSENKA BUKINISTÓW

Po nas potop
po naszych oczach światłami
trzepotem książek śliskich w sieci kontuarów
pianą płócien liżą araraty wystaw
po nas po was po pachy popatrzcie to my
wyławiamy z potopu z popytu z potrzasku
farbą opite małże nimfy płocie
komu gołąbka z gałązką oliwną
komu potwora w celofanie Każdy
to ocali z potopu co gotów opłacić
drobną monetą życiem spokojem To my
codziennie nad żywiołem rozpinamy tęczę

i potop jak pies
łasi się nam do artretycznych stóp

*

W końcu
kupowałem te majtki i widowiska Tylko
na zbawienne idee skąpiłem Ze snu
budziły mnie gościnne telefony
Babilończyków Wsiadałem
do ich aut (*I raptem
widzenie tej smugi którą już przekroczyłem
i jestem po drugiej stronie Raptem
iskrzenie się każdego przedmiotu zakamarka pamięci kartki
z dawnej podróży twarzy dźwięku*) Posuwałem
się po siedmiu trasach polecanych
przez przewodniki w tym najpowabniejszym
mieście świata a także paru
nie polecanych Zwiedzałem (*Raptem
ów zmieniony rytm lekko przedrzeźniający
dawny Może
z łoskotu ogona po bruku Może
z ulicznej piosenki*) Babilon
to wielkie muzeum gdzie
boginie charcice w nozdrza biorą wiatr
i filozof bezgłowy
palcem upartym przebija rękopis i
barbarzyńscy księżęta uwięzieni w glinie (*Raptem
świadectwo samego siebie widzenie z zewnątrz z obcości
scalonego w sobie Chwila
wyrwania s tego co w każdej
innej chwili staje się mną i czym
ja się staję Między czym a mną
nie ma granicy więc*) Tak dobiegała
końca przygoda i pojąłem
że pora wracać

PIOSENKA DAMY W HEŁMIE FRYZJERSKIM

Ach dopaść Ach nie odpaść nie upaść
Być gdzie należy Widzieć co należy
Mieć co należy Znać kogo należy
Należać Odwróć się poprawię twarz
Raz jeszcze zdążyć Zdobyć Być

Tratatata pobudka Lustro Naprzód
Na parasole bagnety spojrzenia
Podziwiacie idiotki długonogie z bieżni

Kiedy będziemy szczęśliwi

Znowu zadał ten wiatr
i natchnął
jego płótna
Kiedy wrócimy

Moje kwiaty
nierozmowne
nierozumne
niemo zerwane

To jedno
mogło zostać mi oszczędzone
że znienawidziłam
Babilon

PIOSENKA JEDNEGO Z SOBOWTÓRÓW

Babilon

od pierwszego i ostatniego wejrzenia

spóźnioną
niedokładną
i pośpieszną

Nie odwracaj się w słup

To nie ten Babilon

To ten

*

Lecz mniszka

1965

WARIACJE

Wielkie spadanie z konia

Mówi Sanczo: Ale się pan potłukł Niech pana

Mówi Don: Nie spadłem wcale zuchwalcze
Z siodła wieżą żelazną pnę się

Tak panie

I odjeżdżamy chwiejni
Z różowych łąk dzieciństwa
W newadę skwar Ukrainę
Piach kastylię horyzont
W strzemionach z szerokim rondem
Nagolennikach z ryngrafem

Poprzez zmory galopujące
Zamierzające się na nas
Zamiarami
Zamieramy
Za morzami

Hen tam

Ma w swej opiece

Jeszcze wariant pionowy

Można się z tym pogodzić chociaż
z początku ciasno i zbyt
pionowo zbyt
w dół żadnych
zbytków spychanie
wsysanie udeptywanie tłoczenie należy
do samej rzeczy ocieranie się ugniatanie do
rzeczywistości dostosowanie wciąż
w dół płaszczanie płacz o nie
spływanie przyleganie ciaśniej w dół
ściślej niżej zsuwanie warstwa
po warstwie od połyskliwej
powierzchni wciąż dalej z ciepłem
strawionym do szpiku kości z
ostatnim powietrzem w krtani wciąż
niżej w dół nieuchronnie do
cieranie się docieranie cier
pliwe na metalowe dno gdzie
trzeba się wreszcie pogodzić ułożyć jakoś skoro już
jeden drugiego nawzajem
w tej łyżce wody

* * *

Wierzę Są którzy skaczą w ogień
rozchylają płaty płomienia
sobą drzwi otwierają huczące
za którymi błagalny popiół

My nie znamy ich Osmalonym
czarnym murem stoimy wokół
Odrywają się Robią wyłom
Co ich woła co ich wyzwala

Co w ich wnętrzu Pąsowy strumyk
ognia Z łuną powinowactwo
Więc to powrót w siebie Za zdradę
stos należy się wysokopienny

Robią krok Zwieramy się gęsciej
Bicie dzwonów na wysokościach
Trzaskająca jasność żywicy
Są już tam Wyciągają ręce

Kiedy wyjdą oślepli dymem
zataczając się złożą ciężar
u stóp nocy rzednącej
Cichcem
w sobie ognia zdusimy resztkę

Wyprzedaż

Nikogo nie zabrakło w tej radosnej chwili:

wdowy po Sinobrodym
bezdzielnego Lira
złodzieja o uschniętej ręce
gamratki bez łona
rybaka który złowił trzewik nie do pary
poety który koncept miał o dzień spóźniony

minister obalony rozdawał koncesje
mówca-emeryt chciał zmienić poglądy
ucznia przyniósł na grekę ściągaczkę z łaciny
na wystrzał zerwał się do biegu paralityk

wachlarz barw imponował
był niebieski ptak
czarny charakter
biały Murzyn
z żółtych związków przysłali hycła daltonistę

lecz mimo starań organizatorów
Mahomet nie przyszedł do góry

góra nie urodziła myszy

myszy nie tańcowały gdy kota nie czuły

choć muzyka naprawdę była bez zarzutu

Reklama tygrysa

Przydrożny tygrys wróży z dłoni
szczęście moteli marszrut mórz

Pozwól mu pożreć rude ścierwo
i na kolanach łeb ci złożyć

Unieważnione psy i koty
do murów jak liszaje przyschły

Ostatni wałach–samobójca
szarżuje pod rzeźnicki nóż

Modelki prężą się i łaszą
I parskać uczą się namiętnie

Lecz tygrys ciebie nie zawiedzie
wysprząta głowę klucz przekreśli

Szlagier zanuci na dobranoc
zamówi sen sprzed urodzenia

Już wiew radioaktywnych burz
wydyma pusty zewłok świata

W wymionach krów zastygło mleko
i w piersiach matek się zwarzyło

Embrion w kokonie metalowym
pędzisz przez sen wolnością dyszysz

Twój dobry tygrys cię prowadzi
twój cętkowany anioł stróż

Barbarzyński najemnik w mieście

Ono jest białe a my
jak przypalona oliwa

To barwa
naszej pamięci i snów i zgiełku
którym wdzieramy się w jego szpary

O świecie przekroczyliśmy granicę

Pomiędzy głodem a nadzieją
Pomiędzy oczekiwaniem w słońcu nieruchomym a pośpiechem
ramienia w rydwan wprzęgniętego
Pomiędzy nadzieją a oczekiwaniem

Cóż jeszcze może się stać

Tutaj kopujemy ziemię i kładziemy wapno i zamiatamy perony i jesteśmy
usłudźni i jemy chleb i pijemy wino i tłoczemy się na korytarzach
prefektury i kobiety odwracają się od nas i ciągle nie rozumiemy
języka i ciągle jesteśmy oliwkowi a ono białe ma własne pieśni
i nie słyszy naszych

Tylko jeden z nas powiadają wziął taką nutę że skruszone
porysowało się i ściemniało

Tylko jeden namalował byka i nadziało się na jego rogi umierając
z rozkoszy

Tylko jednemu to się udało

Ale może jutro
ale może jutro
uda się drugiemu
i ten drugi to będę ja

O miasto w którym jestem jak wytrzymać tę tęsknotę za tobą

Bagaż

Co moje ze mną Nietrudna ta podróż
Niech łóżko hotelowe pośrodku potopu
Swojsko mi z tym i rzewnie Zasiadliłem
rogi i rury wszystkimi śmierciami
Godeł i znaków garść rozzierających
w tapety szlaczek wplotłem
Na parapecie ustawiłem wojnę
Tam ognia krzyczą i padają

Gość

niewczesny w progu pyta skąd ten dym

Więc teraz wszystko nas dzieli jak zawsze
Moi polegli i wasi w zaświatach
nie padną sobie w ramiona Dzieciństwo
moje i wasze nie zagra w dwa ognie
przez jeden ogień gwałtem rozgarnięte
zaś temu spotkanemu róg jak guz
wyrośnie Rosochata rura pełna
starej melodii nad fosami wrzawy
dzisiejszej I na apel jej powstaną z gruzów
gotyckie mury Jerycha i załśni
obcość wyniosła zawsze do przyjęcia
jedyna wobec której starczy tchu

Co moje ze mną Wydierają z rąk
Mocuję się Nie puszczam Gryzę
Znów szyba poszła Trzeba wprawić nową
Z drogi Zabierzcie tę miękkość okrutną
ten blask uwodzicielski dźwięki te
rozbrajające Nic roi po tym To
nie moje Bez mojego pozostanę
goły wewnątrz i zewnątrz To widok nie dla was
Zaiste lepiej obrosnąć tą knieją
Jam bezpieczniejszy kiedy niebezpieczny

Żadna podróż nie straszna

Pościg

Czy jesteśmy tobie współcześni

Wiem ty się nie spóźniasz

Przychodzisz w swoim czasie lecz nie na mój czas

Z biegiem czasu mojego ścigam się zdyszany
Wiatr zrywa listki sekund z brzękiem osypuje

Czy jesteśmy współprzestrzenni

Ja zamknięty w sobie nie znam innych wymiarów

Ty wieczne obok Znam tylko twój głos

Tańczę w czasie jak ryba Czas mnie oskrobuje
z pamięci dźwięków twarzy

Rwę się w przestrzeń omotany czasem

Niepewnie stawiam stopę na skrawku nie moim

To już przeszło Spóźniony

Czy jesteśmy współwinni

Z letadromu wylecę o godzinie zero
z własnym czasem w tkankach ziębnących

Przekład z obcego miasta

z kamienia w loki ufryzowanego
na mroźną glinę bez nosa i ust

z przechadzki pod drzewami na pogoń przez trawy

z bruku na śpiew samobójców

z tronu na pręgierz

ze snów na dobijanie się do drzwi zamkniętych
wspinanie się po schodach coraz wyższych

z pogody w której obłok przeczuwany ledwie
na deszcz ukośny

z ostrygi na nimfę
w sieć własnych rzęs złowioną
na kurtynę z tuszu
na habit mniszki

z dziewczyny w deszcz na starą
kobietę za łańcuchem Wyjechała
Nie mieszkała
Nie spotkali się nigdy

Kiedy to było
gdzie to było

Z lustra na szron

**Zagłada gatunków
1969**

Zagłada gatunków

*The buffaloes are gone
And those who saw buffaloes are gone
Carl Sandburg*

Vitus Bering widział jeszcze przed śmiercią syrenę
morską zwaną też mniej romantycznie
krową morską Zorza polarna
przyświecała widowisku lecz Beringowi
zamarzały wąsy i serce i dziąsła
były krwawą miazgą i nie doczekał wiosny Uczestnik
jego wyprawy Steller napisał dzieło pod tytułem
De Bestiis Marinis ogłoszone dziesięć lat później Wtedy
wielu myśliwych udało się na nowe łowiska i niebawem
nikt nie mógł już zobaczyć tego bezbronnego stworzenia które
nie śpiewało na zgubę żeglarzom

A jednak
to jest wielki teatr zagłada gatunków Kiedy William
Matthewson obdarzony przydomkiem Buffalo
Bill mierzył bizony celnym choć przekrwionym nieco
okiem lub później gdy ten sam
przydomek nosił William F. Cody licznie przybyła
publiczność przypatrywała się z okien specjalnego pociągu paląc
cygara i wachlując się kapeluszami jak
padały wsiąkały w prerię zaprawdę było
na co popatrzeć jak masywne pękate
usychały niczym liście na kartach
historii naturalnej

Lecz cóż pierwotne cóż wtórne widowisko oklaski w pewnym
kraju oklaskami uczczono pożegnalne
kołowanie wróbli wdzięczne nie
ważyły się przysiąść unosiły
się w powietrzu jak nuty
ułamne z ostatniego tchu
wyciągnięte gdy zaś opadły
nie było w nich już nic muzycznego przypominały
zmięte kulki gazetowego papieru

Rozmaitość losów Na przykład tur
Był ciemny Szedł lawą Ryczał

Zataczając się rzeżąc nie pogodzony padł
w roku pańskim 1627 Ileż dłużej
trzymały się sobole i rosomaki puszystymi kitkami
zamiatając ślad pośród
oblatującej przestrzeni Słysząc
o przebiegłości skazanych gatunków podszywających się
pod inne lecz musiała temu towarzyszyć
również obawa królika by go nie wzięto za lwa i bolesna
niemożność udowodnienia kim jest naprawdę

Tyle historia naturalna A teraz komu
starczy wyobraźni dla Prusów
chroboczących w ostępie nieufnych dobytch
wcześniej niż tur Nie zostawili po sobie
okruchu mowy garnka wiary Nie ma ich
w dantejskich piekłach ni rajach Nie ma
nigdzie A gdzie są
Ormianie anatolijscy których krew
spłynęła w pustynię ale
nie użyźniła jej Czerwonoskórzy wojownicy
o twarzach wymalowanych w rytualne pasy co
chroniło przed złym duchem nie uchroniło jednakże
przed postępiami komunikacji Ludzie
z plemienia Hutu wytepieni w buszu
przez ludzi z plemienia Tutsi Kto pamięta
kilka może kilkadziesiąt małych narodów północy i południa
które ginęły od zmiany klimatu zmiany pożywienia
zmiany prawa chciano je uszczęśliwić bądź
ukarać oświecić nawrócić skłonić
do ustąpienia miejsca potrzebnego
w różnych czasach nader doniosłych celach

Ten stary człowiek z miotłą w Górze Kalwarii widział jeszcze
swoich współziomków innego wyznania jak
odjeżdżali by zamienić się w dym To nie on
był sprawcą Był świadkiem Zamiatął chodnik Niewiele
jednak umiał o nich powiedzieć gdy pewien
literat który ćwierć wieku spędził na obczyźnie powróciwszy
wychylony z samochodu pytał Widzieliście
ich Jak pana widzę przed sobą I co się
z nimi stało Kto to wie A co się
stało ze ścianami wśród których
modlili się stukali młotkiem pomstowali rodzili dzieci Wszędzie
mieszkają ludzie Jest im ciasno

Oto więc
przyroda w której nie ma pustych miejsc Wszędzie
wchodzi trawa piasek i głos Duchy bizonów
nie straszą Fala zamknęła się
nad cieniem cienia syreny Są jeszcze

ostatnie nosorożce i liczne jaskółki Ludzie
mają swój teatr Życie
trwa¹

¹ Fakty dotyczące wyniszczenia niektórych zwierząt zaczerpnięte zostały z książki Antoniny Leńkowej pt. „Oskalpowana ziemia”, wydane) przez Zakład Ochrony Przyrody PAN, Kraków 1961. (*Przyp. aut.*)

Filatelistyka

Z dzieciństwa
pamiętam filatelistykę Kto zauważył
że nie ma już takiej filatelistyki jak
za naszego dzieciństwa Nie chcę
być człowiekiem dnia wczorajszego powtarzającym
wciąż słowa *Pamiętam* i *Nie ma już* Ale
co począć skoro naprawdę nie ma
tych wielkich łowów przygody tych małych
chłopców zbierających przypadek migotliwy płat
oceanu wygiętą szyję
wyspy szczęście dźwięk
gardłowy dziwność okrucz łąmigłówki świata która każdemu
układała się inaczej zdobywaliśmy
wymienialiśmy w ciemnych
sklepikach za grosze kupowaliśmy barwny
narkotyk czatowaliśmy trzeba było
czujnie strzec swojej dżungli Przedsiębiorczość
wyobraźnia marzenie to wszystko
tworzyło świat otwarty za którym
wstydę się tęsknić niepewny
pobudek teraz gdy
jest inna filatelistyka systemów
zamkniętych do których
kupuje się bilet wstępu Każdy
może mieć abonament i w określonym
terminie odebrać określone te same
co inni posiadacze abonamentu składniki
zbioru Granice
są znane Nie ma
przygody trafu Jest
organizacja i specjalizacja te potęgi
świata współczesnego To filatelistyka
totalna Być może
udziela ona innych satysfakcji Przynależności
symetrii pełni włączenia pomiędzy
odbiorców przemysłu filatelistycznego pewności
otrzymania tego co inni w obranej
dziedzinie zaklejenia płaszczyzny
w umówiony sposób Nie mogę
sprzeciwiać się temu skoro
tak jest Powiadam tylko

że chodziło o coś całkiem
niepodobnego czego
nie ma i nie będzie już nigdy

Wczesny Chaplin

Znamy wczesnego Chaplina ale przed nim
był jeszcze wcześniejszy Chaplin Te filmy
zostały już zapomniane Chaplin
miał twarz brutala szczyrzył zęby
jak żbik gotowy do skoku i nie miał
skrupułów uwodził kobiety nasyłał
na rywali gangsterów odepchnięty mścił się
nie przebierając w środkach kiedy śliczna Mabel
Normand uczestniczyła w wyścigach niktzemnik.
połał jezdnię przestawił drogowskazy kierując
samochód do przepaści podłożył dynamit mimo
wszystko Mabel ocalała i zwyciężyła omal
nie pękł z wściekłości publiczność
pękała ze śmiechu i naturalnie wcale
mu nie współczuła Nie miał jeszcze
swojego stroju laseczki wąsików Miał
monokl i szpicbródkę Nie nazywał się
Charlie lecz Chas To trwało
jakiś czas Lecz z czasem
zaczęła mu się zmieniać twarz postać i wnętrze To
zdarza się nie tylko aktorom lecz
apostołom i zwykłym ludziom Niejeden
przeżył to w młodości dziwiąc się
i cierpiąc kiedy skóra
stwardniała w grymasie jaki
zdawał się dokładnym odnotowaniem
wnętrza kruszyła się i znów ustalała
inaczej Nie wiadomo
skąd to przychodzi To nie jest
zwykle postanowienie Może natchnienie Więc Chaplin
po nakręceniu trzydziestu pięciu filmów tak się właśnie
przeistoczył z Chasa w Charliego W ostatnim
spośród tych filmów byli obydwaj Charlie
marzył żeby być Chasem Ze snu
obudziła włóczęgę pałka policjanta Wstał
z ławki w parku publicznym i pokuśtykał
w dal z zakłopotanym uśmiechem Nie było
w nim złości tylko nadzieja Nie żądza
sukcesu lecz pragnienie
obrony godności ludzkiej Ze ścigającego
stał się ściganym I to był już

wczesny Chaplin którego
pokochaliśmy nie przestając się śmiać

Ocalenie Don Kichota

Za siedmioma klęskami w Sewilli
Miguel de Cervantes Saavedra
niezdarzonego hidalga w zbroję obleka
na koń wsadza
i horyzont z klucza otwiera

Przez skwar
przez drwinę
przez krajobraz imaginacji szalonej
jedzie Don Kichot
kruszy kopie
wysadzony z siodła dotyka ziemi

Rzeczywistość spuszcza mu cięgi Ta rzeczywistość
której burczy w brzuchu brzęczy w trzosie i kurzy się ze łba
Ta sama
co ma krępkie pięści pachnie potem i czosnkiem i nienawidzi
odmieńca i chce istnieć tylko
sam na sam ze sobą bez antytezy bez odbicia fantastycznego bez
głosu
spoza jej rejestru Rzeczywistość nie przepuszcza Don Kichotowi

Miguel de Cervantes Saavedra
bogobojny sługa rzeczywistości
dla jej racji układający śmieszna historię
w ostatniej chwili leżącego dopada
i przed ciosem śmiertelnym osłania W tym mgnieniu
jego służb gorliwość
zdaje się wystawiona na próbę

Don Kichot
sztywno podnosi się z ziemi
kuśtykając zbliża się do półżywego
Rosynanta tłumiąc jęki
wsadza nogę w strzemię gramoli się
na kościsty grzbiet i odjeżdża
w swoją nierzeczywistość zostawiając Cervantesa
za siedmioma smutkami
w Sewilli

Franz Kafka (I)

Kiedy Franz Kafka pisał swoje historie nie były one
zwierciadłem rzeczywistości Urodził się i żył
w najłagodniejszej z tyranii gdy zaś upadła w naj-
przyczynitszej z demokracji burżuazyjnych Europy W świecie
tak niepodatnym na Apokalipsę że pochłonięty
przez nią nie przestał się dziwić W mieście gdzie dotąd
odnaleźć można ślady każdego kto tu żył
przed Apokalipsą Także
Franza Kafki Oto
dom gdzie się urodził Tędy służąca
do szkoły odprowadzała go strasząc Tutaj
pracował w towarzystwie ubezpieczeniowym i nie śmiał
zwolnić się na dwa dni żeby wyjechać
na spotkanie kochanki To
grób rodzinny Kafków Domy stoją
wszystkie tylko z niektórych
tynk opada Mieszkańcy
pokazują też starą studnię którą opisał
w jednym z pierwszych opowiadań i wewnątrz kościoła
z powieści Ale
gdyby w tym co pisał doszukiwać się obrazu
świata w którym żył byłoby to
krzywdą i zacy ten świat miałby prawo
poczuć się dotknięty gdyż nie był
taki Był
pogodniejszy i prostszy Na szczęście
Kafkę zaczęto czytać dużo później gdy ciało świata
w każde słowo jego zmyślone wślizgiwało się nadržając
opóźnienie i jęcząc z bólu

Franz Kafka (II)

Franz Kafka zawsze pragnął
ufać i dodawać otuchy Wśród
książek które najchętniej czytywał były
opowiadania Bożeny Niemcowej Często
wracał do nich chłonąc
ciepło którym tchnęły i pragnąc
upodobnić się do starej dobrej pani rozdającej
ludziom chleb Kiedyś
przeczytał utwór jej pod tytułem W zamku
i podzamczu i zrobiło to na nim
takie wrażenie że nie mógł
oprzeć się chęci naśladownictwa Pisał
długo i wciąż miał nadzieję że uda mu się
stworzyć dzieło równie słoneczne o równie
pomyślnym końcu lecz
nie udało mu się i bardzo cierpiał i chciał
spalić to co napisał

Państwa faszystowskie

Niedługo po wojnie 1914–1918 w Europie powstały pierwsze państwa faszystowskie W tych państwach słońce wschodziło i zachodziło o normalnej porze opromieniając dachy domostw i wzgórz zieloną spadziścią W oborach łagodnie ryczało bydło Matki o świcie budziły dzieci całując je w czoło Ojcowie wracając z pracy ze znużeniem radosnym w kościach wdychali dym domowego ogniska zaś po obiedzie zasypiali w fotelu bądź też majsterkowali wytrwale bądź też muzykowali z zapalem Dzieci bawiły się w klipę w klasy i w chowanego Małym dziewczynkom rosły piersi i dziewczynki z dnia na dzień zamieniały się w duże dziewczyny wypełnione szeptem szmerem jak drzewa w lesie chichotem nagłym na którego dźwięk chłopcom zasychało w gardle W letnie wieczory na firankach podświetlonych od wewnątrz schodziły się cienie rozchodziły i znów schodziły miłośnie Zaś zimą kochankowie łowili ustami parę z ust w ośnieżonych ogrodach

I jeszcze

można wspomnieć o kotach wyginających się w kabłak o wróblach wzlatających nad jezdnią o staruszkach na przyzbie o kwiatach ciętych i doniczkowych o pielęgniarce podających chorym termometr o ludziach z miotłą zamiatających ulice O drewnie rozsyhajającym się bruździe w polu wilgotnej wietrze w zaroślach I jeszcze można wiele wymienić zjawisk świadczących że

Albowiem nie było znaków na niebie komet żałobnych wody w krew zamienionej krzaków płonących albowiem życie biegło zwyczajnie więc naprawdę w państwach tych

wielu było

ludzi zwyczajnych i ludzi dobrych i takich którzy nie wiedzieli o niczym i którym nie przychodziło na myśl i którzy nie czuli się współwinowajcami i którzy nie mieli z tym nic wspólnego i którzy nawet nie czytali gazet lub też czytali niedbale zajęci myślami o tym że trzeba naprawić przeciekający dach oddać buty do szewca oświadczyć się wypić

kufel piwa wymieszać farby zapalić świeczkę i którzy
naprawdę nie dostrzegali strachu w oczach sąsiada nie
słyszeli drżenia w głosie pytającego o drogę nie
dostrzegali różnicy nie słyszeli
głosu w sobie albo skoro
domyślali się czegoś nie mogli nic zrobić i pocieszali się
mówiąc My przynajmniej
nie robimy nic złego żyjemy jak żyliśmy zawsze Co było prawdą

A jednak były to
państwa faszystowskie

Król Edyp

Oto na scenę wkracza Edyp zasepiony W płaszczu
z przywidzeń sennych wróżb niejasnych który zedrze
rozsypła cały po nitce do kłębka do głębi do skłębionej
rzeczywistości po czym przejdzie nagi
z mroku do mroku większego Daremnie Jokasta
Jeśli na bogów życie tobie mile nie badaj tego woła On nie słucha
i wzywa świadków jakby nie przeczuwał
przeczuwa przecież że to śledztwo
przeciwko sobie prowadzi przeciwko
swojej winie bez winy jednak strasznej winie
za którą karę zada winowajcy równie straszliwą O gdybyż
mógł się rozdzielić Na władcę
co zbrodnię kryje dawną I oskarżyciela
co ją wyjawia Jeden byłby zginął
drugi zaś triumfował Lecz ci dwaj
w jednym nieszczęsnym żyją ciele jedną parę oczu
mają do wykipienia jedną parę
nóg na drogi wygnać ramion dla kostura
Więc czemuż nie poniecha

Wkracza na scenę Koturny mu ciężą
Biada ma mowa tuż u grozy kresu żali się świadek
I słuch mój także lecz słuchać mi trzeba
do muru go przyciska tebańskiego
nad którym moru powiewa chorągiew
Krok jeszcze Już wie wszystko Sam chciał tego
Wspaniałomyślny Kreon mu pozwoli
dzieci na pożegnanie dotknąć ślepyimi palcami
i zejść ze sceny może
w mrok w symbol w słowniki
wy tłumaczony opisany nie do
wy tłumaczenia nie
do opisanie Nie do pojęcia
Przepełniony wołaniem krwi co zawiniła Oślepiiony
iskrą wzywającą by ją rozdmuchał Przymusem
dojścia początku w sobie
Ludzki Ze skazą ludzkości
Z jej tęsknotą za prawdą okrutną o sobie
2

² Cytaty z „Króla Edypa” Sofoklesa w przekładzie Kazimierza Morawskiego

Praojciec Abraham

A cóż Abrahama pędziło Ur Chaldejskie opuścił z jego
pałacami i świątyniami i ogrodami i w mieście Haran
także miejsca nie zagrzał Cóż go pędziło
na koczowiska niepewne Odraza
do krwi przelewu Ofiara
ludzka wstrętną mu była Nie chciał
bogom ojców poświęcać dziewcząt smagłych młodzianków
zamurowywać w kamieniu
węgielnym Sen
przerażenie mu odbierało w domach
na kościach wzniesionych Zaduch
krwi człowieczej z ołtarzy dech zapierał I uszedł
mąż Abraham w pustynię

W mroku pradziejów poruszał się po omacku Nie znał
jeszcze dobroci braterstwa Noc granatowa
namiotami targała i myśl jątrzyła niewprawną
może raczej przeczucie Że żywot każdy
jest radością osobną i darem który
chronić należy nie tracić I rozpaczał Abraham
z wiarą okrutną skłócony aż się zbuntował
przeciw bogom wszystkim i obrał jednego który
mięsa ludzkiego nie pragnał Jednakże
wiatrami smagani głodami trawieni wiary mu nie dawali
współwędrowcy że nowe jest prawo
Boga Abrahama przeto epizod ów znany
jak to księga podaje odegrał na górę z synem
Izaakiem oddalił się ten drwa dźwigał zaś Abraham ogień i miecz
i powracając nazajutrz rzekł praojciec chciałem był zabić
ale Bóg me ramię powstrzymał i wskazał
wplątanego w ciernie baranka To przemówiło
wątpiącym do wyobraźni

Tak z odrazy i przerażenia Abrahama religie
poczęły się nowe Miłosierdzie poznano
i potępiono nieludzkość I nie jego już winą że
nieraz jeszcze sprzeniewierzano się prawu składając
ludzi w ofierze i mrok zapadał i wartość żywota każdego
zdawała się nikłą

Mikołaj Sęp Szarzyński

Kolega

duńskiego księcia Starszy nieco
student ceglastej Wittenbergi Z mowy
mniej zręcznej ród wiedzie Z ojczyzny
sypkiej i śnieżnej przybył i powraca i
nie wie Gdzie jestem pyta Cóż mam czynić Czy
jestem tu u siebie Gdzie jestem u siebie
U siebie co to znaczy W sobie W ciele wąłym
W domu ledwie stojącym ciała mego
W przemianie przemijaniu przemiale Za oknem
kropla stygnie na liściu i promień
tęczę zasadza On nie widzi
W siebie zapuszcza kolec Pyta Gdzież
W rozkoszy nędznej rozpadzie rozpaczy
W dzieciństwie porzuconym męstwem niedościgłym
W kołowrocie żywiołu W błędzie błogim
Czy w Ogóle pijanym i sprośnym u siebie
Czy w ucieczce samotnej W trafunku przygodnym Czy Za oknem
śnieg

rozściela się pod ślady zajęcze A w sieniach
tumulcie podsędków pisk dziewczek i szczurów On
Gdzie jestem pyta Załamuje ręce
W Bogu którego nie widzę miłując
W weselu smutnym W słowie zajękliwym
I rozgląda się raptem Nie ma szpady
ni siły by ją dźwignąć Nie zabije szczura
Nie znajdzie drogi przez dziedziniec Stoi
w płomieniu rozdwojonym egzystencji
Po pióro sięga trwożnie

Władysław Broniewski

Pod koniec brakło mu tchu
Nie w wierszu W płucach Wiersze
oddychały głęboko jeszcze w tym szpitalu gdzie
mnóstwo ludzi i dokąd
szmuglowałem mu wódkę Siedział
przy nim jego surowy przyjaciel i
nie pochwalał Zawsze
miał surowych przyjaciół którzy
uczyli go poezji polityki moralności Jeden
Łepiek seter przyjmował
go bez korekty

To było życie
nierozważne karty wódka poezje
telefony po nocach szczerść z żył Byłem
jednym z tych kogo budził
oddech na linii Słuchaj
słuchaj teraz powiem ci To
nie było ważne kogo
budził Ważna
była noc słuchawka konieczność Teraz
słuchaj powiem Oddech którego
nie umiałem nie umieliśmy zapewne dość dobrze
słuchać aż raptem

Odtąd myślę On
jest gdzieś w nocy Jego
oddech w ciemności i którejś
nocy rozlegnie się
telefon Świat
chwyci za słuchawkę czarną

Posel Rejtan

Podeptany w progu podniesiony z kurzu powrócony
do litewskich pieleszy pan Rejtan
traci głos Już powiedział wszystko Traci
władzę w członkach Już wykonał
gest ostateczny Traci
rozsądek Co po
rozsądku tam w głębi czarnej
nocy zarastającej
trakty Zasuwałej
rygle zgrzytliwe Zamykającej
w sobie Zostaje mu tylko
słuch Pieją pierwsze kury
Budzi się ze snu Wszystko żywe śpi
Haubice z przytkniętymi lontami Kamienie
spryskane krwią Peruki
od gołych głów osobno Śpi spokojnie
kuchmistrz koronny Jegry śpią i lud
Historia śpi na placach i ścierniskach
Pan Rejtan
wsluchany w sen wszystkiego
wstaje z niemocy Powstaje
nad nią Idzie przez labirynt
nocy ojczystej Staje nad krawędzią
której nazajutrz nie odgadnie nikt
i słucha drugich kurów i koszulę
po raz drugi rozdziera pan Rejtan umarły

Wydzieranie z paszczy

Wydzieranie z paszczy z paści z puszczy (zęby zatrząsk zasieki żrących zarośli)
w to gołą dłoń nadgarstek w ten chwyt żelazny
w uchwyt w zachwyt w zachłanność w zakorzenie w to
po łokieć po ramię Z pustki grząskiej z pieszczoty głodnej
(oblepianie obłapianie) w to
korkociągiem żył siecią
nerwów bez osłony dygotem mięsa wydzieranie
z piekła z pieczar z pogardy pieczołowitej
z pierwotnego podstępu z próżni
z pustej piersi z gardzieli suchej wydzie
ranie z rany z ropy z ryku wy
dzieranie na świat podnoszenie światu w oczy
na kikucie rozcapierzonym tej znikomej zniknionej z niego wydartej

Komunikat o końcu bohaterów

Nie musicie już iść w rozsypkę Nie
zauważyliście że przestali
łapać za guzik i umierać w locie

Odetchnijcie Jeszcze
w tekturze błyska i grzmi według przedwczoraj
zatwierdzonego scenariusza i w drukarniach
starte litery ka er e wu baza
poligraficzna nie nadaża Lecz oni

nie rozwijają skatowanej skóry Wieczorami
wolą tańczyć w waszych mocnych głośnych z waszymi
rudymi giętkimi i zmienić temat Po raz

ostatni mylą pościg Ostrzyżeni
na jeża Czujni Pochlebcom
spóźnionym *Nie pamiętamy* Wzruszają
ramionami Byliśmy
za młodzi Może wcale
nie było nas Kto wie może Skoro echo
milknie za plecami Jedynie ten
pośpiech z którym usiłują
wmieszać się między was Ufają
że nie odróżnicie

Poprawki historyczne

Te pretensje które miewamy do
zamalowujących twarze na historycznych obrazach do
wycinających kadry z filmów dokumentalnych do
zmieniających imiona w odach na cześć te pretensje
uzasadnione są ich niedołęstwem zawsze
pozostawiają luki szwy w pośpiechu psują
kompozycję i rymy rękami sztywnymi
ze strachu i służalczości Historia sama
robi to lepiej nie jest bowiem
nieruchoma i tępa jak sądzą nie jest
drewnem ani kamieniem ani kością jest
trwaniem żywym korzeniem rozrastającym się by utrzymać
pień struną która rymem doskonalszym na dźwięk nowy
odbrzmiewa z głębokości Talentem czasu

Oto obraz którego nikt nie tknął Spójrzmy
na postać krwistą pośrodku jak
bladość zaczyna pokrywać jej policzki jak
wypełza i przejrzyscieje najpierw
opadają liście uszu orderów dziuple oczu
zapadają się wnet
nie ma nikogo postacie z lewa i prawa
robią krok zwierają się czy ktoś jeszcze
tu był nie było historia
wprowadziła poprawkę Spójrzmy
na ten drugi obraz tu był cień raptem
cień tężeje nabiera barw wypukłości zyskuje
twarz wymienia
z nami spojrzenie to nie do
wiary że go tu nie było skoro
obecność jego jest tak niezbędna tak
zgodna z napięciem przebiegającym pomiędzy
obrazem a przestrzenią w której obraz
znajduje się dzisiaj i my
znajdujemy się Z rytmem wszystkiego Spójrzmy
na inne jeszcze przemiany ci oto tak
różni poróżnieni krwawo naraz
upodabniają się sobą sobie wtórzą i
bólów nie zablizniając bliźniaczej odtąd
tak będą

Głupio więc
czynilibyśmy żywiąc pretensje do historii która
linieje na wiosnę odradza się
nowa i czujnie śledzi
ciągle dzisiaj jak aktor lustro
repetując rolę i usuwa
zbędny rekwizyt i wydobywa
z siebie wyraz jaki lustro
zdolne jest odbić

Kanikuła

*...Spiekę i skwar zsyla nam
gwiazda Pies.
...Mężę chodzą bez sił.
Alceusz, w przekładzie
Stefana Srebrnego*

W wakacyjnym Elizjum (to sen) w jego rozrzedzonej
białości dusznej w nieważkości (wszystko sen) gdzie
głosy błędzące mijają się bez odbicia i każdy
gest zawisa w bezwietrzu nie rzucając cienia
tynek osypuje się z oślepych gazet i muchy
pancerne brzęczą nad pobojuwiskiem
związanych straganów (to jej sen) W wapiennej
jasności wgryzającej się we wszystkie pory (to
sen oszczędny bez głębi) w ucisku
pętli słonecznej w sączeniu się bladym
limfy pomidorowej w tasowaniu
jednakowych nas płaskich zasłaniających twarze zdeptane

przesuwających się (w polu

sennego widzenia) z nagła zastygających
głową w dół załamanyh rękami i znowu
wprawianych w ruch ospały (przez wahadło snu) od niechcenia
obłapiających się na przystankach by nie ustal
ten ruch ostatni Tutaj ona
w bujaku nudy w miastach irrealnych przez nią
wznoszonych i burzonych (przez jej sen)
z przyzwyczajenia śni nas i nigdy nie dośni
do końca starczo mamrocząc i sapiąc
w skwarnym Elizjum darmo wzywającym zmierzchu

Stary Marks

Zastanawia mnie i pociąga Stary Marks już nie
tak gwałtowny i dramatyczny jak Młody Marks ani
tak zjadliwy Trudniejszy Już
nie pisze pamfletów Studiuje źródła
w British Museum Wszystko
musi zostać sprawdzone i nic nie może
zawierać błędów ani opierać się na niedbałym
cytacie z pamięci Do późnej nocy
siedzi w drewnianym fotelu pisze pali
za dużo cygar czasem uchyla
drzwi do sąsiedniego pokoju tam Jenny
Marks z domu von Westphalen starsza od męża
rozczesuje włosy przed lustrem zachwycony Marks
mówi Jaka ty jesteś po czym wraca do biurka i tak
aż do dnia kiedy umrze nie
na barykadach galerach w tym fotelu właśnie

Mam zaufanie do Starego Marksa który
naturalnie chce zmienić świat ale chce go
także zrozumieć Zależy mu na
wyzwoleniu wyzyskiwanych lecz zależy także
na dopisaniu do końca książki o mechanizmie
świata wyzyskiwanych i
wyzyskiwaczy i chciałby dobrze
wydać za mąż trzy córki za ludzi
świątłych i wiernych i martwi się chorobą Jenny i sam
podupada na zdrowiu i nie może ponownie
pojechać do Karlsbadu bo Austriacy splatają mu
figla i ze względów materialnych
musi pisywać chałtury dla *New York
Tribune* i może dlatego nie zdąży i chodzi
wielkimi krokami po Hampstead Heath płosząc
wróble i nie tracąc nadziei
że jednak zdąży

Geniusz osiadły ma pozory
powszedniości Sam nie zna
swojej potęgi Nie słyszy
głosów Nie widzi
znaków Nie dosiada nie powiewa nie piorunuje Nie jest
nerwowy Wie trochę

więcej od innych i ma to
do przekazania Przykro mi
że nie skończy książki ale tego co zrobi i tak
starczy na parę pokoleń Byle
umiały się w tym połapać On
liczy że dadzą radę

Stary Marks ceni Szekspira i Ajschylosa ale jego świat
nie jest tragiczny Odkrył w nim porządek
niedobry więc widzi możliwość porządku
lepszego Przekazując mu swoją wiedzę
daje światu szansę

Młyny

Jak te młyny mielą Jaki chleb z tej mąki To
wiek przemiału Spójrz
na tę aktorkę W pół
obrotu w pół roli zmielona Zmielona!
w pół młodości Kurtyna Zapadnia W pół sto
wartoż było przypinać te skrzydła błagalne Spójrz
na tego malarza Jeszcze świat
się nie ustał Pod zboczami farby
żar tektoniczny wątku i osnowy Już
gaszą światła zdzierają afisze Dwadzieścia
innych poczęć czeka by je
pochłonał obrót żaren Spójrz na tę
nadzieję w rękopisie Do druku Na przemiał
Wniebowstąpienie Błysk Diabelski młyn
Tak zima lato schodzi Ze sceny z tapety
na psy do piekieł z oczu z wysokości
Czas na tym schodzi Towar jest nietrwały
Już po sezonie Kto tam jeszcze świeci
Zapomnieli go zgasić Kość fosforyzuje
Słyszałeś kiedy to nazwisko
Nie wie że

O taneczne pośladki gniewne manifesty
erotyzm ergo sum errata erozja
erynie ścigające Muzy
przemiału Dopadły Szczęki
w pół łydki Non omnis moriar
w pół uda Mam dwadzieścia dwa lata Non
omnis Mam trzydzieści dwa Na powierzchni
sypkiej poruszam jeszcze szyją językiem mogę
dialog na pół arkusza językiem przemiału
rozumiemy się dzisiaj Współ-
zawodniczę z gazetą szyldem Na
przemiał! z gipsowymi
popiersiami z uśmiechem
tej dziewczyny z wstępem
krytycznym z melodią co w uszach
przemienia się w miarowy klekot młynów

Oda

Coś się stało Ale co Coś się
poruszyło stanęło poczuliśmy
przez sen to drgnienie i nie uwierzyliśmy że
poczuliśmy je gdyż nasz stan
względem otaczających przedmiotów nie uległ
zmianie A to
świat obrócił się z cichym chrzęstem
na osi której istnienia
też nie byliśmy pewni Teraz
to co minione wszystko
minęło już naprawdę Otwierają się
drzwi Zamykają się
groby Otwierają się
oczy łona perspektywy pułapki Czas
teraźniejszy bez złości przegryza
swą pępowinę Dawni
uczestnicy nie biorą się wzajem
na muszkę wyruszają
wspólnie na ryby ryba bierze podziwiają
zieloną ruń porastającą grunt który
pali im się pod nogami Tchnącą łagodnością
o zmierzchu ziemię pod którą
zapadali się z bólu i przerażenia i przytłaczającego
ciężaru konieczności wreszcie
minionej Otwierają się
drzwi człowiek przez dwadzieścia jeden
lat ukrywający się w ciemnym pokoju wychodzi
na światło dzienne nie umie
mówić ale i tak nikt go nie pyta dlaczego bo
to na jedno wychodzi Otwierają się
wrota ostatniego więzienia Wychodzą
siwi panowie Zbrodniarze Wojenni
Odcierpieli karę Teraz chciałbym
mówi starszy pan złożyć oświadczenie Nie ma pan nam
nic do powiedzenia rzuca ktoś z tłumu
reporterów więc nie nastaje kłania się wsparty
na ramieniu dorosłego wnuka idzie
do pokoju hotelowego gdzie mimo wszystko pisze
pierwsze zdanie memuarów zakupionych
na pniu przez pismo które wychodzi
w milionowym nakładzie Będą więc czytali

i nie odróżnią katów od ofiar winnych od
sprawiedliwych zresztą nie
przejmując się tym zbytnio teraz kiedy
są nowe winy i nowa sprawiedliwość i wojny
toczą się gdzie indziej a tu
wszystko minęło i choć wychodzą jeszcze
aa jaw niespodziewane okoliczności
tego co minęło trudno się nimi trapić gdy
niewiadome jest ziarno jakim skłósi się ruń w świecie
który z cichym chrzęstem obrócił się o niewiele może
o pół stopnia

Zdaje się że owej nocy nie spałem w domu
Śniłem siebie przeszłego i nie umiałem
rozpoznać więc przyniosło mi ulgę przebudzenie
nad ranem przez ów wstrząs niepewny i za oknem
widok zatoki otwartej i statku
nieznanego który jak gdyby
zawahał się lekko na fali

O sobie

Jestem dobrej myśli Ona
władą mną Jestem jej Nie jestem
tego szumu Tej przeszkody Tej ziemi
na którą padam Tego podmuchu
wiatru Tych wirów Kołowania tego Nie jestem
tego co zagłusza zawodzi zabija Dla tego
jestem nieswój Nie należny Wiatru jest liść
Ziemi kamień bezwładny Mnie nie pociąga
nie przeciąga na swoją stronę ciężar i cień
Chcę być dobrej myśli Z dobrej woli
trzymam się jej Ona mnie
pociąga stanowczo i kieruję ku sobie wbrew oporowi
tego czyj nie jestem Jak tamto
szarpie mną i popycha! Jak chce mnie
jej odebrać i wydać swojej twardości swojej
porywistości swojej
sile ciosu i podstępnej sztuce wyzywania z nadziei Jak mnie
otacza odcina odgradza od niej Jak szuka
wejścia do mnie przez uszy oczy i nozdrza
Jak się sączy przez skórę jak wchodzi w kości jak
mnie kusi Nie wytrzymasz bez gleby powietrza głosu A ja
wrywając się wołam Ile mi trzeba jest w niej
Wyślizguję się szamocę czołgam się do niej
wierny jej na torturach oślepiiony widzący wnętrzem
jestem jej do niej przedzieram się poprzez
szum i ból Odarty ze skóry
gołym mięsem dopadam i chwytam się rąbka
dobrej myśli mną władającej

Portret zbiorowy

Czy mój przyjaciel jest wielkim artystą Czy
mówcą porywającym jest mój przyjaciel
Dzieckiem szczęścia Gwiazdą Kobiety na jego widok
Zawiadowcy w czerwonych czapkach Wiwaty Kwiaty

Czy często
mojego przyjaciela boli serce Ile płaci
mój przyjaciel za gest Ile za
wyrzeczenie się gestu Ile mu płacą
za wspinanie się i spadanie Ile od wiersza
za słowo dzienne i nocne Ile on płaci
za chwilę ciszy Ile za tamtą
w której czyta o sobie Ten łajdak to beztalencie Nad czym
głowi się ciągle Nad nieskończonością Nad tym jak związać
koniec z końcem Nad koniecznością

Gdzie spotkamy się
za następnym razem Na pogrzebie peronie
na firmamencie na
portrecie zbiorowym Jak
znaleźliśmy się jak wybraliśmy siebie czy wzajem czy
coś nas wybrało i ustawiło jak niegdyś
w dzieciństwie kapitanowie
drużyn chłopięcych ty do mnie ty do mnie i odtąd

Na jak długo nas starczy

Będzie salwa kompanii czy salwa śmiechu

Wyjść Spojrzeć z boku

Aktorki dramatyczne

H.M

Kocham je w sztucznym świetle w którym są prawdziwe
Kocham je w sztucznym świecie w którym są piękne
Kocham je w słowie i w przegięciu szyi Znam
ich ciało i ciało ich głosu
drżące Ich zmienność ich wierność Nigdy
nie zbliżyłem się na wyciągnięcie ręki Przecież
oddają mi wszystko Dla mnie
istnieją na najwyższej nucie
tak karkołomnej że serce się kraje
Na ostrzu na krawędzi Jeśli runą
będzie pustka i rozpacz zwycięskie rywalki
za kulisami ukryte od rana

Czy wiem
kogo kocham Czy znam
ich tożsamość odciski palców pocałunków Może
są zaledwie narzędziem czegoś
czego nie umiem nazwać i co jedynie
istnieje w tej przestrzeni na tych deskach i co
posługuje się nimi aby przestrzeń określić
poruszyć wypełnić ideą i głosem Są tedy
narzędziem i znakiem W sobie nie istnieją
aż zetrą twarz tragiczną i przywdzieją zwykłość
po drugiej stronie siebie Jaka ulga
być małostkową kaprysić i kłamać Lecz znów
inspicjent w dyktę kołace Czas na nie
A w rozpisanej roli brak szpary dla kłamstwa

Na jedną z nich czekałem kiedyś przed wyjściem i zanim
na tarczy kwiatu obrócił się czas
ujęła go i zatrzymała Więc wpatrzony
przed jej uśmiechem zatrzymałem się niejasnym
z rysą gorczy i cieniem ironii Przed
jej istnieniem wezbranym tuż obok
i bardzo wysoko na
nucie której się czepiam żeby
nie odbiegła na marne żebym ja
nie został niżej W świecie bez sztuczności
i bez nadziei

**Z wierszy dawnych:
Od „Śmierci nie ma!”
do „Wanderjahre”
1945–1960**

Rosa Lee

*Sąd wydał wyrok skazujący Rose Lee
i jej dzieci na karę śmierci.
(Z gazet)*

I

Życie jest piękne,
O, życie jest bardzo piękne!
To tylko ludzie – czasami – bywają źli.
Nawet w stanie Georgia, smutniejszym niż Harlem,
gdzie ciała są czarne i myśli są czarne,
umiała żyć bardzo pięknie,
czterdzieści pięć lat bardzo pięknie,
Rosa Lee.

Słucham? Żeby mówiła głośniej?
Podsądna,
Pan Sędzia prosi: głośniej!

Więc o dzieciach... Ha, na murzyńskiej łące
nie rosną inne kwiatuszki.
Ludzie lubią narzekać, kiedy ich mają za dużo,
ale gdy człowiek jest matką i wdową od dawna, cóż,
umie kochać okrągły tuzin.
Było ich zresztą czternaście, ale jedno umarło,
zaś Jimmy, najstarszy, padł
podczas szturm Guadalcánu.

Żeby do rzeczy?
Podsądna,
Pan Sędzia prosi: do rzeczy!

– Dobrze. Więc mówię:
„Mister Startford, już wypędzam prosiaka ze szkody!”
A on: „Do kroćset bezczelnych murzyńskich gówien!”
I wyciągnął colt.

„Mister Startford, nie trzeba, nie trzeba, mister Startford, ja wiem,
jaki szacunek należy się, mister Startford, Białemu,
proszę mnie nie bić, mister Startford, na Boga, proszę mnie nie bić,
o, jak boli, co pan robi, pan chce mnie posłać do nieba,
to za wcześnie, o, o, o, moja głowa, litości,

za co pan mnie kopie, mister Startford, pan mnie zabije, dość!”

Dość!

Kiedy chłopak ma piętnaście lat,
kiedy chłopak ma trzynaście lat,
nie chce czekać na sprawiedliwość – tam, w górze.
Gdyby byli mądrzejsi, pozwoliliby zabić matkę,
wiedzieliby, że Białe to Białe, a Murzyn – to tylko Murzyn.

II

Pamiętam, czytałem kiedyś wiersz,
dobry wiersz, napisał go Edgar Allan Poe,
a ten wiersz to nie był taki zwykły wiersz,
ale płacz po umarłej i umarłej pomnik.
Jeszcze imię tej umarłej w pamięci się tli,
imię białej kobiety: Annabel Lee.

*Było to – pisał poeta – bardzo dawno
w królestwie nadmorskiej mgły,
mieszkała tam dziewczyna i żadnych spraw
nie było w jej życiu – tylko miłość.
Anioły – pisał poeta – nie zaznały w połowie
szczęścia takiego jak my –
lecz zza ciężkich chmur ostry wicher powiał,
przeziębł i zabił moją Annabel Lee...*

A później (tego nie pisał, ale ja wiem)
ciągnęły się smutne wieczory samotnego poety
i był w głowie, świecącej jak okna wielkiego miasta, szum alkoholu,
i wiersze też umierały
niby pastelowe, filigranowe, puszystowłose kobiety
o zmierzchu w hotelowym pokoju.

*Każdy księżyc, nim zniknie, przynosi mi sny
o promiennej Annabel Lee
i co noc każda z gwiazd przypomina w blask
twoich źrenic, Annabel Lee:
jestem zawsze przy tobie – w czas nocnego przypływu,
ukochana, moja żono, mój losie, czy słyszysz!
Jam w królestwie nadmorskiej mgły,
jam w grobowcu z nadmorskiej mgły.*

Przeczytałem wiersz towarzyszom – powiedzieli, że tak nie bywa,
lecz mnie śmierć Annabel Lee wzrusza, nawet gdy nieprawdziwa,
bo przecież zdarza się, że tylko miłość i już całe życie,
przecież zdarza się, że tylko włosy i usta, i oczy.
Więc na pewno nie macie racji, jeśli nie wierzycie –
a sęk w tym, że coś innego mocniej boli i bardziej obchodzi.

III

Było to bardzo a bardzo niedawno
w republice, gdzie wolność się cli –
żyła tam kobieta i nazwało ją prawo
Murzynką Rosą Lee.

Wstać, sąd idzie!
Murzynka Rosa Lee, lat czterdzieści pięć, wdowa,
Murzyn Wallace Lee, lat piętnaście, kawaler,
Murzyn Sammie Lee, lat trzynaście, kawaler,
za morderstwo z premedytacją
zostają skazani
na – – –

Życie jest piękne.
O, życie jest bardzo piękne!
Wszystkimi kolorami życie śmieje się.
A gdy nagle jak szklanka z wrzątkiem pęknie,
wtedy jest jeszcze piękniejsze.

Życie się śmieje wszystkimi kolorami?
są tylko dwa kolory: *Black and white*.
A trzeciego koloru sędziowie nie znali,
trzeci kolor na przedmieściach rdzawił i krwawił,
i nazywał się – Czerwony Pierwszy Maj.

To nie było w królestwie nadmorskiej mgły,
to nie było w grobowcu z nadmorskiej mgły –
w czas fabrycznych przyływów, w czas fabrycznych odpływów
przysiękali robotnicy, że Sammie Lee,
przysiękali robotnicy, że Wallace Lee,
przysiękali robotnicy, że Rosa Lee
na czerwonym sztandarze będą żyli.
Więc nie kończy się opowieść: zaczyna.
Rosa Lee będzie żyła!

A życie. Panie Sędzio, jest piękne.
Życie będzie piękne – nawet dla Czarnych.
Bardzo piękne dla wszystkich ludzi.
Bo życie. Panie Sędzio,
życie jest brzuchem ciężarnym,
w którym już dziś rosą pięści
tej, co jutro się urodzi, Rewolucji.

1948

Po śmierci przyjaciela

T.B.

Pod stopami – żwiru nieznośny skrzyp,
zjeżył wiatr cmentarny ostrokrzew.
...On mógłby jeszcze żyć i żyć,
więc skąd ten pogrzeb?

Powoli się posuwamy,
pod trumną cierpnie ramię.

Przyjaciele dzieciństwa, nie zęgnąłem się tak z wami,
i straszniejsze było tamto umieranie –
nie pogrzebanych, dymem rozwianych na wietrze,
w bruk wsiąknięch plamą burą.

Ale nie było goryczy większej
i większego bólu.

No cóż, pójdziemy stąd, podobni do jesiennych drzew,
będziemy szumieć albo milczeć do brzasku szarego,
aż ktoś zdziwiony znowu odezwie się, że
tak zniecka, z życia, z szeregu...

Po czym, jeden po długim, każdy do siebie pójdzie,
i tylko później...

Będziesz szukał bliskości przyjaznego ramienia –
jego nie znajdziesz.
Będziesz szukał czujności żarliwego sumienia –
jego nie znajdziesz.
Będziesz pragnął pomocy i śpieszył z pomocą –
nie jemu.
Ze złego i dobrego będziesz się zwierzał nocą –
nie jemu.

W chwilach zwycięstw i klęsk,
w chwilach zmagania i pragnień
będzie nas wielu, lecz
jego – zabraknie.

Tak trudno ten wiersz kończyć,

słowa stłumione dobierać,
kiedy chce się krzyknąć: Zabrońcie
przyjaciołom przed czasem umierać!

1951

Oczy Metakse

Ach, czemu śpisz tak beztrosko? Wonny
piołun cię uśpił, co stepem biegnie?
Ocknij się! Słuchaj! Poślaniec wojny
do wrót kołace ojczyzny biednej.

W starciu z sąsiadem ponurookim
upaść ci, ludu nazbyt łagodny!
Śpiewa cięciwa i nocnym mrokiem
przykryty, szakal skrada się głodny.

Daleka ziemia, dalekie dzieje...
Ale płacz dziecka, starca rzeźnię,
noc, gdy boleśnie długo nie dnieje –
pamiętam przecież. I znam tę ziemię.

Pamiętam ucisk stopy Timura,
depcącej trawy, trakty, winnice,
i mór pamiętam, i w pustych murach
osiedli – wichru czarnego wycie.

Dzieje: szczęk mieczy i kobiet lament,
uchodźstwo ludu, spalone miasta.
Pośrodku nieba – szkarłatna plama,
jak namiestnika szydercza maska.

Dzieje...
A ludzie żyli. Winorośl
światłem pęczniała, sokiem wzburzonym.
Mnisi pisali księgi w klasztorach.
I poczynały na wiosnę żony.

Uczyły synów ojczystej mowy,
przekazywały płomyk talentu...

Lecz szedł na synów najeźdźca nowy,
ze swiłą zgrozy, z orszakiem lęku.

I – wiek dwudziesty! Już nie wystygnie
kronika, jedną brocząca raną:
milion posłano po śmierć w pustynie,
milion na miejscu wymordowano.

Tysiące uszły znowu – bez mienia
i bez nadziei – tylko z pamięcią.
...Siostra nasza, Armenia,
ziemia zroszona męką...

*

Mała dziewczynka, zwinna Metakse,
drży – lecz nie z trwogi: taniec tak każe.
Oczy jej – otchłań, i włosy także
czarne, jak letnia noc na Kaukazie.

A w parku – blask. Po jabłku–lampionie
dostało każde z drzew do zabawy.
Mała za mała jest i nie pojmie
losów za smutnych, smutków za dawnych.

Ale w jej ruchach – cała Armenia,
ból, niewoli, zagłady wieki:
nagłe, spłoszone zgięcie ramienia,
schylenie głowy, trzepot powieki.

Błagalny gest wyciągniętych dłoni
(przez ile przywędrował pokoleń?),
kluczenie uchodzącej pogoni,
zniechęcenie w martwą pokorę.

O, kraju, w którym najmłodsza zieleń,
z ziemi za ledwie wytrysła, jeszcze,
zda się, murawy chroni znużenie,
po której przeszły pułki łupieżcze!

O, kraju, w którym radości taniec
z trwoźnych się składa ruchów i dźwięków!
O, kraju!...

Wtem melodia ustaje,
Metakse stoi z kwiatami w ręku...

A wy mówicie, że przeszłość – przeszła,
że strasznej – w świecie tym nie ocaleć;
lecz jakże sprawić, by z oczu pierzchła
dziewczynki, która nie zna jej wcale?

1954

Księżyc nad Suchumi

...Więc – coraz wyżej, coraz wyżej!
Jak w ślubnej sukni, drży w mimozie
ciemność. Za drzącą – stań – i wyrzyj:
tam – w dole – niebo? Czy też – morze?

O, stare słowa: nocy szata,
z gwiazd śpiewających pas jej lity.
...A te iskiarki – niżej, w krzakach –
takie znajome! To – świetliki.

I jeszcze – źródła szmer, co ściga
wspomnieniem. Reszta – sen, fantazja.
Woń oleandrów, cykot cykad,
gorąca, tajemnicza Azja.

Przez całe życie do harmonii
tęsknimy, do doskonałości.
To ona! Czemu tak się broni
serce? Ucieka! – słyszysz łoskot?

O, słabe!

Ale, gdy już tchu mi
brak od zbyt pełnej, zbyt ogromnej –
brzoskwinią żółtą nad Suchumi
zawisa księżyc, płynie do mnie –
chwila – i sokiem wargi zwilży
spragnione.

Ciemność drży w mimozie.
Cisza. Za drzącą – stań – i wyrzyj:
tam – w dole – niebo? Czy też – morze?

1954

Nowina

*Gazeta „Zaria Wostoka” doniosła o rehabilitacji
pisarzy gruzińskich: M. Dżawachiszwili, P. Jaszwili
i T. Tabidze.*

Lato kaukaskie, stubarwnej
urody twej nic nie zetrze!
Lecz dziś – przejęła mnie bardziej
szara szpalta w gazecie.

Przeciwstawienie prostacze
wybacz mi,
 z ośnieżoną
skronią skalisty starcze:
trzem martwym imię zwrócono.

Zbocza porośnięte winem,
ślące przedziwne wonie,
za każdą taką nowinę
pół czarę waszego roztrwonię.

Cóż, że się sprzeniewierzę
poezji dźwięcznemu pięknu!
Wiemy zostaną większej
sprawie: ludzkiemu tętnu.

Stopy człowieczej śladom,
zmytym przez wrogie deszcze
i znowu kaukaskim latem
odkrytym na górskiej ścieżce.

1954

* * *

Przyjdzie dzień, gdy wszyscy wrócimy
z tych niepotrzebnych podróży
po świecie nie bardzo dziwnym,
po świecie nie bardzo dużym.

Zbierzemy się, podnieceni
pijacy i przyjaciele,
by sprzedać po marnej cenie
egzotyki trele–morele.

Jaką gdzie piją wódkę,
jaki gdzie placek gryzą,
jakiego koloru smutkiem
wije się każdy horyzont.

I jak się zewsząd tęskni
do tego właśnie kąta,
do własnej skóry, do męskich
rozmów bez ładu i końca.

Że choćbyś uniknął najdalej,
z tej skóry nie da się wyleźć,
będziemy chórem gadali,
rzewniej wciąż i zawilej.

Aż gadka przy kielichu
znuży nas i odurzy
i każdy zatęskni po cichu
do następnej podróży.

1955

Cztery zimy

Pierwsza zima mrozem zwarzyła
krew na krę gęstniejącą w żyłach.

Druga zima sypnęła śniegiem:
nic nie widzę, nie czuję, nie wiem

Trzecia zima: pod grudą białą
coś ruszało się, coś tajało.

A teraz jest czwarta zima,
której serce już nie wytrzyma.

1955

* * *

– Nie pisałem wierszy talentem
(a rozumiem to tak: melodią,
która płynie znikąd donikąd,
burzą słów, natchnionym obłędem,
błyskawicą olśnienia nagłą,
nieświadomą energią naga,
co przychodzi sama i znika,
niepowolna groźbom ni modłom,
i na wydmach fantazji mokrych
piękna trwały zostawia okruch...)
– skądże! nie pisałem talentem!

– ...Nie pisałem wierszy talentem,
ale trudem, stokroć przeklętym,
ale myśli zziąanej wołą,
ale uczuć prawdą nieuschłą,
gniew był strofy ułomnej solą,
miłość słowa dawała ustom –
może zbyt jednoznaczne, ciężkie,
aby świata urodzie sprostać;
lecz wierzyłem: szczęście – to szczęście,
ból – to ból, no a rozpacz – rozpacz...

– Tak i dziś. Wielki Wicherze Poezji,
nie chcę prosić ciebie o talent:
jakoś dotąd bez tegom przeżył,
może więc potrafię i dalej.
Ale proszę, spraw, aby trwały
myśli upór i uczuć siła,
w to, w com wierzył – niech starczy wiary
i niech gardzę tym, czym gardziłem,
zadrażnieniom nie pozwól się goić,
niech zostanie mi ból i gorycz,
niech nie stanę się obojętny
na najmniejsze – i zło, i dobro,
niech świętuję, gdy dzień odświętny,
i niech płaczę, gdy smutku ogrom.

Tylko tak – dalej pisać będę –
cóż, że trudem, że nie talentem!

1955

Na dyplom Aleksego Lasurii, poety abchaskiego

...A skoro stało się, przeto
zadzwońmy, druhowie, w dzbany:
był chłopak zwykłym poetą,
został – dyplomowanym.

Więc po cóż nam lepszy pretekst,
kiedy i ten jest niezły,
aby uczcić poetę
toastem w sprawie poezji.

Poezja... Kto z nas codziennie
nie pyta, czym jest poezja?
Poezja – to takie stworzenie,
co chodzi prosto, nie pełza.

Poezja... Ja myślę, bracia,
że ta, co brzydzi się, boi
prochu i wzrok odwraca,
gdy rana otwarta boli –

to nie jest prawdziwa poezja.
Poezja, drodzy – to męstwo.
W górę dzbany! Bez długich wezwań
cierpką ciecz ciągnijmy i gęstą

za męstwo poezji: za prawdę,
co trudna bywa i przykra,
lecz bez niej – choćby i barwne! –
bezsilne poezji skrzydła.

Więc niechajże porwie bies je –
ładnostki! A my się bijmy
o prawdziwą poezję –
i za nią do dna wypijmy!

1955

Z rozmów 1955: Historia

I

Nie, nie jestem aż tak naiwny,
bym historii, niczym rozpasanemu dygnitarzowi,
zarzucał niemoralne prowadzenie się.
Wiem: nie będzie się biła w papierowe piersi
i nie zostanie przeniesiona
na podrzędniejsze stanowisko
na prowincję.

Ale nie jestem również tak przemądrzały,
bym potrafił, jak ów nienarodzony
przyszły erudyta,
spoglądając z wyżyn osiągniętego już celu
w dół,
widzieć tylko prosta i równą jak szpalta dziennika
prawidłowość. Bo dojrzę w dole
czasu naszego zawile mrowisko
i siebie,
i ludzi cierpiących
nie zawsze prawidłowo.

Ani nie jestem tak wygodny,
bym całą rzeczywistość przyjmował
za dobrą i nieuniknioną dlatego tylko,
że jest rzeczywista.

Ani wreszcie tak pokorny nie jestem,
bym się zgodził, że przywódcy jedynie,
gromowładni i nieomylni,
a nie my w każdej chwili tworzymy historię:
nie tylko tocząc wojny, budując wieże Strzeliste,
lecz także
mówiąc
lub
milcząc.

II

I dlatego

zżymam się czasem,
buntuję przeciwko historii
i nawet w rozmowach z tymi,
co skalistą swą niezłomnością
przygniatają bliźnich do ziemi,
nie ukrywam goryczy.

I dlatego
nie sporządzam na gwałt,
jak księgowy podejrzanego przedsiębiorstwa
w noc przed rewizją,
dodatniego bilansu sumienia,
wyskrobując piórkiem sofizmu
koszt popełnionych błędów i win
tragicznych.

I dlatego
odmawiam szacunku tym,
którzy wołają: „kryterium moralne
w historii nic nie znaczy” – aby przykryć
własną obojętność moralną.
Zaś z tymi, którzy pełni dobrej woli
głoszą kojącą właściwość zapomnienia,
spieram się do upadłego.

III

Ale nadchodzą też chwile
pojednania z historią,
która pokazuje nam
już nie chłodne, bezwzględne
oblicze Boga Nieodwracalności,
lecz ludzką twarz
zadośćuczynienia, wspólnej rozwagi,
przywracanego porządku
rewolucyjnego.

Teraz właśnie jest taka chwila
radosnego przejaśnienia,
gdy odżywają godne tego
imiona, wizerunki,
spotykamy wzrokiem ich czyste źrenice –
i w każdym z nas coś odżywa.

Chwila obalenia mistyfikacji,
ujawnienia słabości,
skupienia jedynie zwycięskiej siły:
nie siły głośnych słów, pustawych gestów –
siły świadomego,

obdarzonego zaufaniem,
wiec wzajemnie ufnego
człowieka.

W takiej chwili
nie zginam jak giermek kolana,
nie ślubuję historii na zawsze
kornego posłuszeństwa.

Ale –
ja, który opiewałem ją, zbyt słabo znając,
słowem mosiężnym, grzmotem natrętnym,
później zwątpiłem
i zaufałem znów, ale czujnie,
w takiej chwili opiewam ją
tym powściągliwym i trzeźwym wierszem.

Z rozmów 1955: Cisza

Prawom przyrody powolni,
nie potrafimy być burzą nieustającą,
nocy niepokojem ciągłym –
o świecie
szukamy ciszy.

Pioruny, które już uderzyły,
przystały być groźne.
Nad moką ziemią
ustawiamy tęczę.

Może właśnie teraz,
pęczniąc spokojną siłą,
będziemy owocowali?

Od dawna
do urodzaju tęskniący,
chcemy wierzyć
w żywioł życzliwy.

A stroskani wychowawcy nasi
pragną ponadto,
byśmy już nigdy
nie skłębili się burzą.

Nocny wjazd do Fergany

Przygodnym wozem, po nocy, na łebka
wjeżdżałem w zapach brzoskwini i morwy.
Wnet ogarnęła mnie gęsta i lepka
ciemność przedświt. Nie znalazłem jej mowy.

A przecież jakbym przed wiekiem już przeżył
gwiazd wygasanie, okienek pełganie,
hojność żebraków, bezbronność żołnierzy,
słodycz kończącej się nocy w Ferganie.

Wóz zatrzymywał się. Wszystko jak wtedy:
urlopowany piechur stał przed furką
i nie śmiał pukać. Znak szczęścia czy biedy? –
to zaszczechało zbudzone podwórko.

A ja? A cóż tu mojego? Księżyc
miedziak wytarty w dwuznacznych przygodach.
I zrozumiałem, że zeszło pół życia
na czczych porywach i zbędnych zachodach.

O piękno ledwie trzy razy się otarł,
albo i tego nie... Mijała chwila.
Wóz ruszał. Rwała się krótka wspólnota
podróźna, wątła jak puszek motyla.

Tkaczki jedwabiu wsiadały i zaraz
noc nappełniało ich młode ćwierkanie.
...Szedłem za nimi po tłocznych bazarach,
żyłem, pragnałem, kochałem w Ferganie.

Bluźniłem. Wiersze składałem tureckie.
Jadłem i piłem. Żarłem się o towar.
Byłem duchownym, oprawcą i dzieckiem.
Aż z brzaskiem znów się ocknąłem – niemowa.

Z szoferem jakoś się rublem rozliczę
lub srebrną tańgą – i wszystko skończone.
Lecz morwa? Lecz te dziewczyny? Lecz życie?
Zostać tu? Jechać dalej? W którą stronę?

1956

Deszcze nad Mazurami

I

Wloką się w szarej nudzie
deszcze nad Mazurami.
A pod deszczami – ludzie
szarzy, bardzo sterani.

To ugrzęzną w zgryzotach,
to zabrną w nagłą trwozę.
Ledwie się o nich otarł,
i cóż ja im pomogę?

II

Leśniczy był tu jeńcem.
Nic, prócz udręki, nie miał.
Wierzył święcie, zawzięcie
w dzień zadośćuczynienia.

Dzień, gdy on będzie panem,
a Niemiec psem kopanym.
On będzie panem w puszczy
i Niemcom nie popuści.

Dzień zwycięstwa był szary
i szary rok za rokiem:
ciągle mgła i moczary,
i szary plusk u okien.

Szara bida z mizериą,
i żeby choć motocykl,
jak Niemiec rządził, ścierwo,
to na oplu się toczył.

Osiwiała już głowa,
ni słyhu o odwecie.
„Kto mnie tak wykierował,
może państwo powiecie?”

III

Sąsiadka, ta blondyna
z uśmiechem niewyraźnym,
pochodzi aż z Lublina,
uczyła się w gimnazjum.

Byłaby może damą,
chodziła na dansingi,
lecz wydała się za mąż
i ma już trzy dziewczynki.

„Mówią, że tutaj ładnie,
a państwo się zdziwicie:
oglądam to bezpłatnie,
ładnego nic nie widzę.”

Malownicze widoki.
Do studni cztery kroki.
Kołycki krzywe boki.
Malownicze widoki.

IV

Starowina pod lasem
podpiera się patykiem,
w kancjonale opastym
składa słowa gotykiem.

Hoduje dwie owieczki,
zbiera jagody, grzyby,
z nikim nie szuka sprzeczki,
a ktoś jej wybił szyby.

Pożyje jeszcze chwilkę,
potem pójdzie do raju.
Lecz patrzą na nią wilkiem
i Niemrą nazywają.

Zjechali z Ciechanowa
i gniewa ich jej mowa.
Nie może pojąć czemu:
mówi po tutejszemu.

Chyba całkiem zamilknie –
przestaną patrzeć wilkiem.

V

Wloką się w szarej nudzie
deszcze nad Mazurami.
A pod deszczami – ludzie
szarzy, bardzo sterani.

Lepiej szybko odjeżdżać
w jakieś strony weselsze
niż moknąć w szarych deszczach
i pisać szare wiersze.

1956

* * *

I cóż nam zostało? Imię.
A jakaż treść w tym imieniu,
gdy kamień na kamieniu,
gdy z rękoma rozpaczliwie pustymi
trwamy w cielejącym zdumieniu?

Jakaż treść w tym imieniu?
Wiara w mądrość historii,
cel, co na końcu stoi,
wiechą nasz dom przystroi?
Kamień na kamieniu.

Nie do wiary, nie do ofiary,
by w którymś tam pokoleniu
wiatry owocem wiały,
oczy oczom ufały.
Za co im taki przywilej,
czy to ich do krzyża przybili?
Kamień na kamieniu.

Lecz cóż nam zostało? Imię.
A jakaż treść w tym imieniu?
Ta, co minęła, młodość,
w zgiełku zuchwałym i dymie,
w nieukojonym pragnieniu.

Stara przyjaźń i stara wrogość
nie z tamtymi, lecz właśnie z tymi.
Bo takie zostało nam imię.

Może to nie tak mało.
Nic innego się w życiu nie miało.
Dobrze, gdy choć imię zostało.

1956

* * *

Gdzie budowa z kopyta rwie,
wielkie piece dech biorą w płuca –
tylko tutaj na pewno się wie,
że to jednak jest rewolucja.

Ale tuż – powszedniości krzyk,
zabłąkanej na mrocznych ścieżkach,
gryzie mury żarłoczny grzyb,
rozsypują się w proch miasteczka.

Gdy go rzeźbiarz–dziejopis dotknie,
jaką twarz będzie miał nasz czas?
Tych, kruszących się bezpowrotnie,
czy też tamtych, rosnących, miast?

Smutnych ludzi, idących na dno?
Twardych, w nowy wierzących brzeg?
Jaką twarz, jaką treść odgadną,
gdy odwiną z gazet nasz wiek?

1956

Gość

I jam ją widział tego lata
i do jej furt i bram kołatał:
w przepychu stacji benzynowych,
tumulcie liter neonowych,
wzniosłości szos i pysze wystaw;
taka była nierzeczywista,
taka wczorajsza i daremna,
zapadająca się, podziemna,
na chwilę żartem wydobyta
Troja, Pompeja, Atlantyda,
zastygły uśmiech ekspedientki,
strzępek gazety, niżka cen,
rozkosz, polityka, występki,
pokryte lawą, wszystko sen.

...Ach, jakże mi jej było żal!
Po trosze należałem też
do tych, których jej płomyk grzał,
obmywał jej ożywczy deszcz.
Ale gdym tutaj stał w waciaku,
do wargi przylepiony skręt,
mściwie czytałem mowę znaków,
że dom już nie wypłaci rent,
że na skuterów żwawym tłumie
hasają obłąkane mumie,
urocze, ciepłe, malowane,
na chwilę żartem odgrzebane.

I cóż, że wieżom skrzydła rosły,
że Ulenspiegel kształcił osły,
że anioły spływały z witraży,
że stała Nocna Straż na straży,
że ostry ser, że cierpkie wino,
że kodeks mówił, co jest winą,
że Bach w dziecinnej drzemał gamie,
świeciły ściany Memlingami,
szydzili mądrzy dowcipnisie,
składali bajki i utopie –
to wszystko popiół, wszystko śni się,
naprawdę jest już po potopie,
został rekwizyt martwych scen,

błąka się echo dawnych tyrad,
tragedia, liryka, satyra,
pokryte lawą, wszystko sen.

Ach, jakże mi jej było żal...
Jej głosik słodki jeszcze drżał
w mych uszach, jeszcze podniebienie
nie zapomniało jadeł smaku...
Ja jeden znałem mowę znaków
i żółte dostrzegałem cienie
na lekkomyślnej, na niewinnej,
w grzechu ugrzęzłej po kolana.
Ja jeden byłem Marsjaninem,
mędrce w drucianych okularach.
Ach, jakże mi jej było żal...

1958

Jeszcze wcześniej

Wszystko przechodzi jakie szczęście
że znaleźliśmy się tak wcześniej
księżyc przechodzi obłok przechodzi
a my ciągle jesteśmy młodzi
i ciągle jeszcze wcześniej

ach niepowetowanych strat
tyle być mogło bez tych lat
tyle księżyców tyle obłoków
tyle rozstań tyle powrotów
tyle nocy sukienek ramion
śniegu liter przebudzeń rano
dotknięć muzyki smutku snów
lamp modrzewia milczenia słów
tyle ciebie i tyle mnie
i wszystkiego o tyle mniej
tego wszystkiego co bywa w życiu
tyle obłoków tyle księżyców
łez pijaństwa wszystko przechodzi
i nie bylibyśmy już młodzi
i byłoby za późno

ale było naprawdę było
wszystko w porę nam się spełniło
noce kochanków noce szpitalne
noce gorzkie sentymentalne
tyle księżyców trochę starsi
tyle obłoków jeszcze starczy
padamy pada deszcz pada mrok
tyle okien podróży rąk
włosy książki rysunki śmieszne
uśmiechnij się co ci szkodzi
to my to my niezmiennie młodzi
tyle lat jeszcze wcześniej

trochę blagi trochę odwagi
kto to my a człowiek jest nagi
całkiem nagi we dwoje sam
oto wszystko co masz co mam
serce zamiera to nie przechodzi

a my ciągle jesteśmy młodzi
nie bój się jeszcze wczesnie

1958

**Z nowych wierszy
1971–1973**

Upór Marcina Lutra

Tu stoję Tu się staję Tu stanowią Tu
na śmiech wasz się wystawiam jeśli wola
bo i błaznem i osłem być mogę rykliwym
skoro Pan do proroka przez oślicę kazał
a ja z niskości mojej kimkolwiek bym był
Tu stoję Tu się staję Tu stanowią

Czy pisma swoje za swoje uznają
i czym odwołać je gotów skruszony
Mądrzy Panowie Co moje to moje
Grube paluchy i podbródek ciężki
To ciało faska piwa I sumienie
w którym uwiła wiara moja gniazdo
Pisma też moje Palców nie odwołam
podbródka przyrodzenia się nie wyprę
Brzuch brzuchem będzie Sumienie sumieniem
Mądrzy Panowie

Suknię zedre wszelką
boć dymem strój i przedmiot Tytuł dymem
dzwonienie dymem złocenie świecenie
święcenie W dym spozieram Dymny pozór
uchylam niczym firankę Rozdzieram
Rozdzielam prawdę od prawa Wyprawiam
w dwie różne strony Czy sprawiedliwemu
potrzebne prawo Czy zacnej jabłoni
nakaz potrzebny by owocowała
Przywłaszczyciela odprawiam wykładni
jedynie prawowitych To mniej niż parsknięcie
wiatru przed nocą Nie wprawi mnie w drżenie
Tu stoję Tu powstaję Tu zostaję Tu
stopy w kamień wbijając rozsadam jak trawa
docieram niżej głębiej w glebie się zasadzam
osadam się w podglebiu korzeniami stóp
całym sobą Pękatym worem grochu Faską
piwa opasłą Gmachem cielska tego
nie do ruszenia skruszenia skoszenia
nie do rozwiania nie do owładnięcia
Tu stoję Tu się staję Tu stanowią

Amen

Inteligenci

Niemożliwi są ci panowie
inteligenci

A jednak wbrew swojej niemożliwości
istnieją

Nie mają instynktu samozachowawczego

Niewdzięczni
gryzą pierś mlekodajną

Płoną ze wstydu
za niedoskonałość świata
na wszystkich stosach

Wymyślają
perpetuum mobile
państwo słońca
wielość rzeczywistości
i od czasu do czasu by ulżyć cierpieniom bliźnich
gilotynę
W ramach eksperymentu
dają głowę pod nóż

Doktor Marks
wymyślił wartość dodatkową
i o tych kajdanach prócz których pamiętacie państwo proletariat
nie ma nic do stracenia

Doktor Korczak
wymyślił *Jak kochać dziecko*
i do końca trzymał się tego:
małej ciepłej dłoni
w zziębniętej ręce

Hrabia Tołstoj nie ukończył wydziału prawa wymyślił
Nie mogę milczeć przeciw karze śmierci
i że zło rodzi nowe zło Postanowił
przerwać

Doktor Schweitzer teolog wymyślił
że trzeba zbawić ciało

trędowatych Murzynów i rzekł
Idę Panie

Doktor Jeanson Francuz nie wiem zresztą czy doktor wymyślił
że Francuzi muszą się wynieść
z Afryki wielu
miało go za kiepskiego Francuza

A doktor Chałubiński z Warszawy
wspinał się coraz wyżej
młodniejącym sercem i zatrzymując się
na krawędzi wiatru wymyślił
górali nie uśmiechajcie się pomysł doktora Chałubińskiego
też nie był taki zły

Poeta i jego żona

Poeta jest żebrakiem Ten stan
przystoi mu Nie upokarza W nim
otwarcie i otwartość dłoni Gest
tak zwykły w powietrzu
przejrzystym swego miasta czasu Stuk
kostura po płytach ulicy to jakby
pastorał zachowany spoza
siedemdziesięciu pokoleń
O gdybyż
tak mogło być do końca Jeszcze tylu
nie odwiedzonych nie wiedzących Tylu
którzy nie zdążą nie dadzą nie wezmą
Poeta jest żebrakiem Ale już niedługo

Tymczasem
żona żebraka drąży skrycie
schowki dla skarbów Konieczny jest pośpiech
Nocą drąży i w schowkach pamięci ukrywa
tu obraz senny
tu krzyk na cezurze
tu dystych
*Ja wiernuśia w moj gorod znakomyj do slioz
Do prożiłok do dietskich pripuchszich żelioz*
tu tam rozsuwa rygluje rozkłada
na przyszły blask i przepych
pośmiertne pałace

Modlitwa o bezpieczeństwo

Przed miłością której nie mogę już odwzajemnić

Przed nienawiścią której odwzajemnienie łatwiejsze niż oddech

Przed obojętnością w którą zapadam jak południem na wspólnej
sali w bagnisty sen

Przed nicią którą zaszywam się w kącie mojej osobnej nudy i trwogi

Przed księżycowym torem mojej ucieczki

Przed kredowym kołem

Przed znakiem kredą lub węglem na moim domu

Przed zaklęciem w kamień węgielny

Przed zaklęciem w kamień na kamieniu

Przed zaklęciem w osła wieprza lub krokodyla

Przed martwymi substancjami gotującymi się przeciwko mnie

Przed martwą falą martwą literą martwą ręką chwytającą żywego

Przed wykręcaniem rąk do tyłu kiedy biją po twarzy

Przed jedynym światłem w ciemnościach: reflektorem w oczy

Przed mokrą ścierką w ustach

Przed mokrą ścierką w mojej skórze

Przed rzeczywistością skrawającą mnie dzień po dniu i chwila po
chwili nożem pogodzenia

O co chodzi

O co chodzi drobiazg chodzi o
tego który chodzi od zgrzytu
w drzwiach do grzybu
w ścianie cztery i pół
kroku tam i z powrotem chodzi o tego
który nie chodzi stoi z rękami
nad głową teraz podnieść
lewą nogę opuścić teraz prawą nie
w celu chodzenia w celu obmacania
podeszwy stopy chodzi o tego który
siedzi na wprost lampy tak jasnej że
ociemniał na bezdrożu dochodzeń i wreszcie chodzi
o tego który od skrzypu
nocy zalegającej do krzyku
dnia na płask leży chodząc po
ścieżkach zaległych krokiem nie liczonym
i powstrzymując sen

O co więc chodzi śmiechu warte nie
chodził nawet ze mną do szkoły ani
z tobą w pierwszej czwórce
z nami na piwo ani
z tobą nigdy nie chodził tylko
teraz od zgrzytu
w głowie do krzyku
celi niemej dzień po dniu tam
i z powrotem i póki
jest ten więzień słyszysz ja ty my też
nie zaznamy wolności

Elegia o końcu świata

*Innego końca świata nie będzie
Czesław Miłosz*

Rozbierz się Otwórz się To jest właśnie to

Z ogrodów dzieciństwa Z osobności swojej Ze wstydu

To jest to co obstąpi ciebie Odstąpi ciebie
(Echo lubi rozmaitość Pozorną)
To z za węgła z za skóry z za wieczornego
rozstąpienia się drzew ścian twarzy Jeszcze
nie podejrzewasz Niesiesz w sobie
zwyczajność powrotu wsiebiewstąpienia glinę
pełną ciszy przez świat skupiony

Rozbierz się Rozbij się Weź to
w usta w nozdrza w źrenice To
następuje ci na twarz Rozbierz się z twarzy Wstępuje
w twoje podbrzusze w brzuch masz w sobie
jeszcze nie wiesz o tym wymoszczone gniazdo dla pisklęcia bólu roz-
bierz się z ciszy masz
kiedy padasz na plecy jamę do wypełnienia
żrącym wapnem uległości i strachu Rozbierz
się z modlitwy To
wedrze się w twoje flaki w głowę w uszy jesteś
niezastąpionym przedmiotem do wdzierania się Czym
pędzej zedrzyj
z siebie te jedwabie te chóry rozbierz
się z Szekspira z Państwa Słońca z sosny
rozdartej rozbrój się rozłóż się daj się
w grzędę wgnieść w robaczywość krewniczki ziemi masz w sobie próżnię
pociągającą gwałt jak gleba grom

Otwórz się To jest właśnie to
Innego końca świata nie będzie Nagłość
tego co obstąpi ciebie Odstąpi ciebie Nagość
twoja W milczeniu W wilczemu
coraz szybszym jak
oddech zawodnika

Akt oskarżenia

Jaki brzydki jest ten człowiek
ze zdekomponowaną twarzą Z powieką
jak kurtyna co się zacięła
wpół zsuniętą na oko
Z kneblem krwi na wargach

Jego brzydota
jest wywrotowa Na równym miejscu
nogi uginają się pod nim

Złamana linia jego rąk
podnosi rękę
na strzelistość waszych luf i pozdrowień

Nic nie przemawia za nim
Za nim
mur

Sam nie przemawia za sobą
Jest niemy Odmawia

Wysoka Ludzkości
Jego przepocona koszula
to wrogi sztandar
Jego oddech nieświeży
zatrzuwa atmosferę

Jego smutek to zamach
na pogodę bliźnich

To oczywiste że
za uporczywe trwanie w brzydocie
człowiek ten winien zostać zapomniany
przez żyjących w pięknie

Powrót do ojczyzny

Bielejąca na wzgórzach to ona Skrzydlata
i przysadzista Z furkotem
czteroramiennym
wiatrów trąb trwania

A to ja Mój powrót mój zawrót gdy
ruszam w zaloty i śmieszny wzlatuję
i tuli mnie do piersi twardo odtrącając
i wewnątrz słyszę serce mielące miłośnię
i turlam się po bruzdach

To my Ja z twarzą jak stary miedzioryt ja
którego miłość jest natarciem Ona
której istnienie jest rozarciem
ziarna ciała wszelkiego co w nią wchodzi My
ja i ona w tych młynkach we wspólnym mieleniu
mojej męki jej mąki
na pożywny miał

Więc tylko młyn jak zawsze?
Młyn Modlitwa Modliszka
Mdłości w porywie w górę O wzniosła choroba
Jak słodko z tych bezwietrzy duszności płaskości
powrócić na jej łono Śpieszę
zająć miejsce w skrawku oddechu
między obrotem skrzydła
a odwrotem ziemi
W ojczyźnie mej La Manczy

Elegia o umarłych poetach

Ciągną moi umarli każdy z trumną pod pachą
Światłości wiekuistej szukają po omacku
Wiecznego odpoczynania bardzo się już zziąjali
Może w jakim słowniku pod garścią dobrego słowa
Może w jakim śpiewniku pod wysokim śpiewem
Ze swoimi grzechami ze swoimi strachami
Młodym starym szaleństwem niedościgłym braterstwem
Ciągną moi umarli milczą im wszystkie dzwony
Płaczą im Antygony a wokół świat zielony
Wargami poruszają kogo oni wołają

